Numer podwójny Cena 3 Zł.

Wieś

DWUTYGODNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

ORGAN ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

ROK II. ŁÓDŹ, 22 CZERWCA 1945 R. Nr. 4 (11)

JAN SZCZEPAŃSKI

CHŁOPSKI BILANS WOJNY

W historii chłopa polskiego wojna 1939—1945 roku jest zdarzeniem przełomowym. Zarówno jako katastrofa, która odebrała życie setkom tysięcy chłopów, ale też jako przewrót, który spowodował największą w doli chłopa odmianę, od tysiąca lat. Gdy dzisiaj w czerwcu 1945 r. armie sprzymierzonych, a wraz z nimi chłopska armia polska, okupują teren powalonego wroga, możemy zrobić bilans, podsumowanie strat i korzyści. Okaże się, że przy całej potworności wojny, przy rozmiarach zniszczeń i śmierci jaka dotknęła chłopa, bilans ten będzie dodatni. Nigdy może nie było tak prawdziwe powiedzenie naszego poety „I ten szczęśliwy, kto padł, jeżeli poległym ciałem dał innym szczebel"... Ta ostatnia walka wyzwoleńcza oswobodziła ostatecznie lud polski i dlatego ofiary, mimo że były straszne jak nigdy, nigdy się więcej nie opłaciły! Żal za naszymi towarzyszami, którzy położyli swoje kości, łączy się z radością zwycięstwa i nie ma słowa przesady w tym zdaniu: **Z ICH KRWI POWSTAŁA POLSKA LUDOWA.**

Wybuch wojny

Choć to na bluźnierstwo wygląda, że ktoś mógł pragnąć wojny, rewolucji, czy innego kataklizmu gwałtownego — przed rokiem 1939, to jednak faktem jest, że tysiące ludzi oczekiwało jakiegoś przełomu. I choć zdawaliśmy sobie sprawę, że polec możemy, że nie wiadomo, jak potoczą się losy żywiołu rozpętanego — jedno było pewne, że nieznośny zastój naszej doli musi ustąpić, że państwo, w którym żyją miliony chłopów, robotników, a którym rządzi kilkanaście osób, musi w toku wojny zmienić swój ustrój! To była jedyna nadzieja pocieszenia w krwawej katastrofie, która spadła na nasz kraj — nadzieja trzymała nas w ciągu pięciu strasznych lat i nie zawiodła.

Z takim uczuciem wszedł chłop w wojnę. Było ono niejasne, mgliste, nie wyłaniało się nic wyraźnego, była tylko nadzieja. Chłop nie był zorientowany ani nastawiony jednolicie. Koncepcja chłopska, biorąc ogólnie, była taka: walka z hitleryzmem musi zmienić chłopską sytuację, bo da chłopu w państwie większe prawa, jako głównemu obrońcy ojczyzny.

Czy można było liczyć na uznanie tych pragnień i na zmianę nastawienia rządu, który jako główny punkt w programie miał bałamucenie chłopa? Raczej nie, albo w minimalnym stopniu. Zawsze była to jakaś mizerna nadzieja, co było dowodem patriotycznej dyscypliny chłopa, że w trudnej dla państwa chwili nie próbował wygrywać przeciwko państwu, choć on przede wszystkim miał prawo do tego, jako najbardziej oszukany i wykorzystany. Dał temu wyraz przedstawiciel Stronnictwa Ludowego, który zabrał głos na sesji nadzwyczajnej sejmu w dniu 4 września 1939 r., mówiąc: „Wojna jak zawsze uderza najciężej w chłopa. Już dziś, w trzecim dniu wojny, wiadomo, że największe ofiary ponieśli synowie wsi, oddając swoją krew tak obficie, jak żadna inna część narodu. Ale chłop wierzy, że zwycięstwo przyniesie mu jaśniejszą przyszłość".

Plan niemiecki

Niemiecka książka o Polsce stwierdza, że w kraju naszym miliony rolników żyją w nędzy, albo na stopniu prymitywu nieznanym w Europie. Ich stan materialny łączy się z poniżeniem jakiego doznają od obszarniczego rządu. Widać z tego, że Hitler miał nadzieję na rozpadnięcie się państwa polskiego od środka. Taką samą nadzieję miał wobec Związku Radzieckiego. Nie spełniła się ona ani tu ani tam. Tym, który bił się do ostatka był właśnie chłop. Przyznał to Hitler, udając rycerskiego przeciwnika i chcąc prawdopodobnie podkreślić swoją życzliwość do ludu polskiego. Hitler powiedział 5 października w wielkiej mowie po upadku Polski, że wojnę przegrali niedołężni oficerowie, żołnierz walczył wszędzie bardzo dobrze i do ostatka. Dowodem tego jest choćby pobojowisko pod Kutnem, zasłane ciałami polskich żołnierzy o skurczonych twarzach i ostrzyżonych głowach. Naród polski z pogardą odrzuca tę pochwałę, powiedzianą przez męża stanu, którego nasza historia narodowa musi przeklnąć, jak nikogo innego na przestrzeni dziejów Polski. Ale że przypadkiem prawdę powiedział, mógł się jeszcze przekonać pod Lenino, Monte Casino, Warszawą, Kołobrzegiem i Berlinem. Tylko tam już kto inny leży na pobojowisku.

Stosunek hitleryzmu do chłopa polskiego

Z tego powiedzenia Hitlera, jak również z afisza rozplakatowanego w całej „Generalnej Guberni" i podpisanego przez Franka można było przypuszczać, że Niemcy spróbują wygrywać chłopa przeciwko innym warstwom, i w ten sposób wykorzystać go dla rozsadzenia zasady państwowości polskiej. „Polska żyje" — konspiracyjny organ ZWZ, zamieściła na ten temat trwożliwy artykuł. Wypominano tam chłopu, że odniósł się obojętnie do upadku państwa, a nawet z zadowoleniem, że teraz pójdzie na rękę hitlerowcom, którzy będą się starali traktować go jak najlepiej, i w ten sposób zdradzi sprawę narodową. Autor tej rozprawy kierował się niewątpliwie uprzedzeniem i pogardą wobec chłopa właściwą sanacyjnym politykom. Według tego ujęcia chłop jest nieuświadomionym, niepatriotycznym, niepaństwowym: trzeba go bić albo się zbiesi. W przykry sposób wyraziło tutaj konspiracyjne pismo reakcji swoją nieufność i niechęć do ludu. Tym bardziej przykry, że wobec świeżych trupów owych poległych pod Kutnem.

Ale chłopu daleko było do tej politycznej głupoty, jaką mu przypisywali wystraszeni panowie oficerowie, którzy krwawych ofiar żołnierskich widzieć nie mogli, bo na bitwie być nie zdążyli.

Plan hitleryzmu był jasny: zniszczenie Polski jako państwa, wykorzystanie Polski jako rezerwuaru zboża, a Polaków jako wyrobników. Chłop polski w tym systemie miał miejsce niewolnika.



Rozpoczął wtedy walkę o wyzwolenie, więc o niepodległość, więc o państwo polskie. I zaczęła mu się wyłaniać nowa szansa: że to będzie państwo chłopskie. Z pełną godnością i ofiarnością chłop podjął walkę i skropił ziemię ojczystą krwią tak obficie, jak nigdy w historii.

Męczeństwo wsi polskiej

Niesposób ustalić dokładnie strat poniesionych przez chłopa: w każdym razie są one milionowe. Pierwszy etap prześladowania — to zniszczenie żywiołu chłopskiego i polskiego w Polsce Zachodniej. Początek 40 roku: dziesiątki tysięcy wygnańców z Pomorza, Poznańskiego, Śląska, cofa się na ziemie Guberni, przynosząc wieść o braciach, którzy na miejscu padli od kuli, mrozu, wycieńczenia, i o tych innych, którzy zostali na poniewierkę, hańbę, ciągłą grozę śmierci. Metodyczny rabunek, zwany ściąganiem kontyngentu niszczy gospodarczy system wsi; użycie spółdzielni do ściągania świadczeń demoralizuje formy społeczne wiejskiej gospodarki. Nieomal 2 i pół miliona. Polaków zostaje wywiezionych przemocą na roboty, od 41 roku zaczyna się ze wzmożoną siłą akcja pacyfikacyjna, najtragiczniejsza karta dziejów wsi pod okupacją. Setki wsi spalonych do szczętu, ziemia ich oddana Niemcom z Chorwacji i Serbii, całe powiaty np. zamojski ogołocone z istot żyjących. Ci, którzy widzieli po rowach trupki niemowląt sterczące z błota, nie zapomną nigdy jednej z najpotworniejszych zbrodni, jakie popełniono w dwudziestym stuleciu.

Chłop walczy!

Ale lud polski jest niezmożony; niemal cudowna jego siła odradzania się zawsze była naszą nadzieją narodową! W tych potwornych warunkach nie tyle życia, co śmierci, chłop zwolna wytwarza sobie światopogląd polityczny. Dzieje orientacji chłopskiej rozpadają się wyraźnie na dwa okresy. Pierwszy — to formowanie się batalionów chłopskich. I to jest dla patriotyzmu chłopa charakterystyczne — że pierwszym jego planem była walka, i nie bardzo sprzeczał się on o prawa i zasady polityczne. To też B. Ch. przede wszystkim były organizacją bojową; w tyle jednak widniało już hasło: „ziemia dla tego, kto na niej pracuje!" Skromne jeszcze hasło — potem chłop je rozszerzył: „Ziemia pańska dla chłopa!"

Zaszło to wtedy, gdy B. Ch. stawały się wbrew interesowi chłopskiemu, wyrazicielem polityki Londynu. Niepewność, czy polityka względem Rosji jest właściwa, brak zaufania do reakcyjnego rządu wytwarzały w B. Ch. ferment. Zwolna utworzył się nowy światopogląd polityczny chłopski: i tak wybuchła **WOLA LUDU**, organizacja konspiracyjna która dzisiaj przekazała swoją linię polityczna **STRONNICTWU LUDOWEMU W WYZWOLONEJ POLSCE.**

Chłop zwycięża

Gdy dziś spoglądamy wstecz na 5 lat okupacji widzimy jak pośród swej krzyżowej drogi chłop przechodzi wielką przemianę. Wojna roku 1939-45 — to dla chłopa **NARODZINY NOWEGO CHŁOPSKIEGO PATRIOTYZMU.** I gdy dzisiaj w naszym chłopskim państwie wspominamy miliony poległych braci, partyzantów, bohaterów, męczenników sprawy narodowej, podwójne w sercach naszych znajdujemy uczucie: żalu i radości, szacunku i świadomości, że TYM RAZEM NIE NA MARNE. I prawdą jest to, co powiedział na zjeździe chłopskim w Warszawie chłop, którego dwaj synowie kości złożyli w partyzantce: **PANOWIE POLSKE STRACILI, A CHŁOP JĄ ODZYSKAŁ.**

JERZY DREWNOWSKI

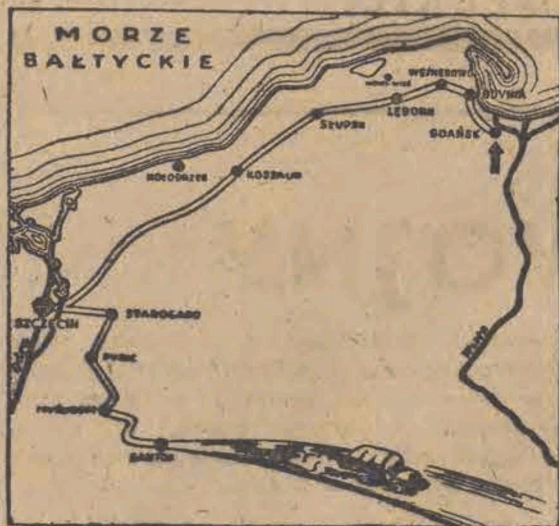
WĘDRÓWKA PO

Od własnego

Wstęp

Pomorze Zachodnie, kraj leżący między Lęborkiem, Słupskiem, Kołobrzegiem, Szczecinem, Starogardem, Kistrzyniem, Gorzowem i Piłą to kraj dzisiaj jeszcze tchnący niemczyzną.

Po kraju Smętka niemieckiego, który żyć będzie dni, a najdalej miesiące na tych ziemiach — wędrować będziemy od polskiej placówki do polskiego gospodarstwa osiedleńczego, by przyjrzeć się pracy Polaków, pracy dla polskości, słowiańskości Pomorza Zachodniego.



Mapka wędrówki po ziemiach Pomorza Zachodniego

Kraj to odcięty dzisiaj od Polski. Nie granicą, nie kordonem i nie przepustką — bo iść tam może każdy, ale jest to kraj odcięty od życia Polski i Słowiańszczyzny od setek lat i dlatego, choć już kilkanaście dni upłynęło — mało tam, wciąż jeszcze mało polskości. I choć zmęczeni wojną, choć radziby w cichym miejscu odpocząć trochę — iść tam trzeba — by pazurami wpić się w tę ziemię i przywrócić ją Słowiańszczyźnie.

Piła. Maj 1945.

Życie moje — śmierć twoja

(Słowa Bismarka).

Wiosną oddychają pola polskiego Pomorza Zachodniego.

Kiedyś Bismark wielokroć powtarzał: „Życie moje— śmierć twoja". Zapowiadał on w ten sposób, że żyć będą na tych terenach Niemcy — zaś Polaków czeka śmierć.

I zdawało się, że tak właśnie będzie. O tym myśleliśmy, kiedy już w 1936 r. na stadionie olimpijskim w Berlinie organizacja młodzieży hitlerowskiej „Hitler-Jugend" demonstrowała tańce „staro-pomorskie". Właśnie hitlerowska młodzież z Pomorza przygotowała owe tańce. Lecz w tańcach tych rozpoznaliśmy nie tańce staro-germańskie, lecz staro-słowiańskie: Łużyczan i księstwa Lubuskiego. Tańczyli je młodzi hitlerowcy posłuszni rytmowi muzyki, a nie jej melodii. Wybiegło ich na stadion kilka tysięcy, ubrani zaledwie w krótkie spodenki, namaszczeni olejami, które nadawały tajemniczy połysk ich ciałom, w rękach trzymali zapalone pochodnie Łuki zataczane owymi pochodniami w świetle błyskające oliwkowe ich ciało — mówiły o ich zwycięstwie; o rzekomej prawdzie słów Bismarka.

Trzeba wspomnieć jedno: orzeł niemiecki i swastyka przyćmiewały im wszystko. Nawet owi prawie nadzy chłopcy nie mogli występować na pokazach bez tych symboli pychy i władztwa niemieckiego. A zatym na swych maleńkich spodenkach umieścili swastykę, z tyłu zaś orła niemieckiego. Symboliczny to fakt — wskazujący miejsce zalęgu owych symboli.

Kiedy ci sami hitlerowcy z tymi samymi symbolami, lecz umieszczonymi na pancernych krzyżackich maszynach zawładnęli Polską, zawładnęli Ukrainą i Białorusią zdawało się, że tylko śmierć pozostała dla potomków Łużyczan, że ich nie ma i być nie może na tych ziemiach.

A jednak wiosną oddychają dziś pola polskiego Pomorza Zachodniego.

W jego cichym zakątku, na granicy dwóch polskich powiatów: Weiherowa i Lęborka leżą sterty kartofli przeszłorocznych okryte gałęźmi, słomą i ziemią. Wokół pracują młodzi chłopcy w wieku lat dwunastu, czternastu.

Wyoknują polecone im zadanie oczyszczenia owych stert z ziemi i gałęzi. Wśród nich połowa podaje się za Niemców, połowa z nich twierdzi, że my Kaszubi i na poparcie mówią, że my katolicy. Ale po polsku nie usłyszycie od nich ani jednego słowa. Teraz pracują, z łopatami, widłami, pilnują pasących się koni, krów. Wykonują polecenia komendanta wojennego Armii Czerwonej i polskich władz państwowych.

A szosami ciągną ostatnie grupy tych, którzy się poddali na Helu Ciągną zwartymi kolumnami oficerowie w pasach, przy broni bocznej, ba wyżsi jadą nawet autami, czy końmi. Chorzy z pośród nich jadą na wozach. Ciągną na swą ostatnią defiladę przez Sopoty do Gdańska. Idą przez miasto nawet ze śpiewem. Były niemiecki Gdańsk żegna ich: Niemki rzucają kwiaty, wynoszą kawę do picia, a oni, zdarza się, odpowiadają hitlerowską podzięką: wzniesioną ręką i słowami „Heil Hitler".

Na czele ich długiej kolumny jedzie niepokaźny jeździec. Furażerka u niego z czerwoną gwiazdą, karabin przez plecy. Jedzie, pogwizduje sobie czasem — a za nim ciągną tysiące butnych Niemców: ich pułkowniki i majory, ich SS-mani, ich führerzy. On jedzie na czele jeden — za nim ciągną jeńcy, tysiące jeńców.

A następną kolumnę prowadzi jeździec w polówce z polskim orzełkiem. Także pogwizduje pod nosem. A zapytany mówi:

Niechaj idą spokojnie. Robotę dla nich znajdziemy. Będą budować to, co zniszczyli. Teraz ich tu dużo, niech nawet pośpiewają — potym śpiewać będą inaczej!

Tak mówił jeździec w polówce, z przypiętym orzełkiem na niej, który prowadził długą kolumnę pysznych Niemców.

Prowadził ich PRECZ z polskiego Pomorza. On i jemu podobni wyprowadzą i tych, co tak żegnali ich na ulicy kwiatami i kawą.

W Gdańsku tymczasem wielu Niemców i Niemek noszą w klapach swych ubrań dziwny jakiś znaczek. To herb wolnego miasta Gdańska. Mówią, my nie Niemcy, my Gdańszczanie. Znaliśmy ich ostatnie lata, znamy ich i dzisiaj.

W ich mieście pracowała fabryka mydła z tłuszczu ludzkiego, w ich mieście z kości ludzkich robiono preparaty, użyźniające ziemię niemiecką. W ich mieście dymiły kominy krematorium ludzkiego, gdzie palono żywcem ludzi, miłujących prawdziwą wolność i demokrację.



Niemcy po kapitulacji Hela Gdynia, Maj 1945 r.

Jakimże błachym wydaje się przeżyte wrażenie z lat przedwojennych. W jednej z gablotek muzeum Luxemburga w Paryżu leżała mała książeczka. Treść jej niewiele ciekawego mówiła: były to zapiski jakiegoś zakonnika z XIV w. Lecz książeczka owa była oprawna w ludzką skórę. I przechowywali ją ludzie na pamiątkę owych strasznych czasów, kiedy w ludzką skórę oprawiali średniowieczni możni notatki swoich sekretarzy. Zaś zwiedzający muzeum odchodzili od owej gablotki przejęci zgrozą i strasznym dreszczem. Czemże jest owa książeczka w ludzką skórę oprawna w porównaniu z kawałkiem mydła z ludzkiego tłuszczu wyrobionym. I jaką zgrozą przejmuje nas wieść o owej fabryce w Gdańsku.

Zamknięta w Gdańsku fabryka mydła, oczyszczonym będzie Gdańsk z tych, którzy w tej fabryce i jej podobnych pracowali.

Lecz nauczeni doświadczeniem zrobimy to planowo i systematycznie. By nic z tej siły, co pozostała w nich nie uronić, by ją w tworzywo obrócić — by pracowali nad odbudową.

Lębork. Maj 1945 r.

Polskość czy niemieckość?

Piękny i bogaty wejherowski powiat należał przed 39 r. do Polski. Ci, którzy przeżyli na tej ziemi lata okupacji niemieckiej, to — rzecz zrozumiała, ludzie, którzy musieli stać się Niemcami III kategorii. W rzeczy samej to Kaszubi, katolicy — co podkreślają na każdym kroku, jako dowód swojej polskości.

Bezwątpienia odstali oni od życia Polski. Żyli biernie w czasie okupacji. Zresztą istotnie trudno było żyć inaczej. Warunki, które narzucili siłą Niemcy, zacieśniały życie i pracę w każdej dziedzinie. Synów — przecież brali im do niemieckiej armii!

W pięknym gmachu Starostwa wejherowskiego zebrali się delegaci ze wszystkich gmin obradować nad założeniem i prowadzeniem Związku Samopomocy Chłopskiej. W zburzonej Warszawie taki gmach jak Starostwo wejherowskie — byłby zapewne siedzibą wysokich przedstawicieli Rzeczypospolitej. Dla nich — ludzi tamtejszych, którzy nie znają, co to gruzy, jak zrujnowana jest Warszawa, Smoleńsk, czy Stalingrad, czy też bliski Gdańsk — jest rzeczą normalną — obradować w tak pięknych salach. Nasze uczucie, przypadkowych obserwatorów, jest zgoła inne. Na obrady zjechali tylko starzy, wąsaci Kaszubi. Młodzieży nie widać. Dlaczego — pada nasze pytanie. Takie sprawy tylko starzy „załatwiają" u nas. Młodych do tego nie dopuszczamy — odpowiadają.

Pełnomocnik Reformy Rolnej, przemawiając na tym zebraniu, nie mówi o dzieleniu ziemi — bo poco ich „drażnić", poco niepokoić. — Wielu ma jej zbyt dużo — ale dobrze gospodarzą. Nie było czasu, ani możności zaznajomić ich z ideami Polski Demokratycznej. Prasa żadna tu nie dochodzi — radiofonizacja z czasów niemieckich — na tym terenie nie istnieje: żyją więc po staremu, bez kontaktu z Polską, ze światem w ogóle. Zdają się nie rozumieć wielkich przemian społecznych, politycznych, gospodarczych naszej Polski — stoją od nich zdala, żyją wygodnie, wierni swym tradycjom najmniejszej zatraty energii.

Pole do pracy dla naszej akcji informacyjo-propagandowej szerokie, jednak trudne: trzeba przerobić w nich to wszystko, czego dokonali Niemcy w czasie lat okupacji i czego dokonali również swymi wpływami w Polsce przedwrześniowej.

Bezwątpienia polityka przemieszania tej ludności jest najsłuszniejszą. Dzielną gromadką w Wejherowie jest czołówka Związku Walki Młodych. Jedynie oni, — chłopcy, którzy przyjechali z centralnej Polski wnoszą życie do lokalu powstałego PPR jak również do organizacji PPS. Trudno w Wejherowie mówić o jakimkolwiek ruchu partyjnym, politycznym, bowiem przekrój życia jest na innej płaszczyźnie, a mianowicie: polskość, czy niemieckość.

Praca starosty wejherowskiego jest bezwątpienia trudna. Życie wciąga go jako gospodarza powiatu w wir najbardziej palących spraw. Do nich w pierwszym rzędzie należy brak siły pociągowej w pracy na roli. Więc trzeba ją zdobywać — oto tętno życia.

Przez powiat ciągną stada koni i krów nieistniejącej armii niemieckiej. Wszystkie wysiłki starosty idą po linii zabezpieczenia powiatowi jaknajwiększego udziału w rozdziale owych „wojennych zdobyczy". Akcją podziału kieruje, jak i w innych powiatach, wojenny komendant, ale wiele zależy tu od inicjatywy tak starosty jak i społeczeństwa, od ich energiczności i przedsiębiorczości.

Nie należy zapominać, że już powiat wejherowski leży blisko takich terenów, gdzie jeszcze dziś chodzą po lasach i drogach bezpańskie konie i krowy, gdzie przechodzącym oddziałom wojskowym są niepotrzebne małe prosięta i t. p.

Dotychczas osiedliło się tu kilkuset nowych ludzi. Są oni przyjmowani przez mieszkańców tej ziemi ze zrozumiałą rezerwą. Są to przesiedleńcy z Poznańskiego lub Łódzkiego. Przyjechali, by lepiej tu żyć — bo tam ciasno. Jest to bezwątpienia akt pozytywny: naturalnego przemieszania tutejszych ludzi z elementem polskim.

Chociaż powiat wejherowski leży tak niedaleko od tętniących życiem polskim—ośrodków, jest on jakby od nich odcięty. Nie ma wcale polskiej prasy, w ogóle żadnej prasy w pow. wejherowskim. Bal nie ma tu śladów afiszy, ogłoszeń, nie ma tu głośników radiowych, nie ma tu wiecy, mało zebrań, mało społecznej pracy.

Wynika to wszystko tylko z jednego faktu: zbyt mało tu Polaków, którzy walczyli o Polskę i którzy podejmują jej budowę z całą duszą i energią. Dla takich wiele miejsca w miastach i wsiach wejherowskich. Czeka na nich stara polska, kaszubska ziemia wejherowska.

Wejherowo. Maj 1945.

Młody aktyw lęborskiego powiatu

Powiat Lębork leży już na granicy Polski przedwrześniowej. Czy to polska ziemia czy nie polska, świadczą dobitnie już same choćby nazwy miejscowości. Niemcy zrobili Neu Rozla-



Na gospodarstwie Rodowskiego (w środku) i Domaradzkiego (z lewej). Rozmowa z pow. pełnom. do spraw ref. rol. Lewandowskim Nowa Wieś, Pow. Lębork, Maj 1945 r.

POMORZU ZACHODNIM

wysłannika

sin, z Nowej Wsi zrobili Neudorf, z miejscowości Łaba — Leba, z Laskowic — Lesnikshoff, z Cincelowic — Zinzelitz. Przykładów takich możnaby podawać tysiące z każdego powiatu. Że było to dawno, wiemy. Nawet niektóre wsie nie umiemy nazwać tak, jak się one kiedyś nazywały. Przykład: wieś Veddin — pow. Słupskiego.

Do chwili obecnej obsadzono 415 gospodarstw poniemieckich polskimi osadnikami.

Większość z nich to przesiedleńcy z pow. kartuskiego (bezrolni), zaledwie 4 czy 5 repatriantów zza Buga.

Zapotrzebowanie tego powiatu wynosi ok. 12 tys. rodzin. Jest tu poniemieckich majątków ok. 60! Pełnomocnik reformy rolnej obsadził polskimi administratorami zaledwie 12 z nich. Na pozostałe brak ludzi. Gospodarstwa czekające na swych polskich gospodarzy sa różne: po 12 ha, ale są i po 1000 ha. W powiecie tym pracuje 60 traktorów i dzięki inicjatywie przede wszystkim Wojennego Komendanta Czerwonej Armii cała ziemia pow. Lębork została zasiana we właściwym czasie. Pod egidą i dozorem czerwonoarmiejców zorganizowano z tamtejszej ludności brygady pracy, które przygotowały i zasiały ziemię.

Ale żniwa przecież nie tak daleko: już wówczas powinni być na tej ziemi nowi gospodarze! Im później — tym trudniej będzie gospadarzyć. Im później — tym bardziej zrujnowana będzie zagrodą. Bo dziś ona bezpańska stoi, a co bezpańskie — to wszystkich. Nie pomoże tu — choćby najbardziej dzielna Milicja Obywatelska.

Przed gmachem starostwa gromada ludzi. Najwięcej młodych. Większość to ci, co wracają z niewoli: z obozów koncentracyjnych, z przymusowej pracy. Inni, z centrum Polski tu przyciągnęli.

Wobec tak niewielkiego napływu, jest rzeczą jasną i zrozumiałą następująca polityka.

Osadnikom należy oddawać w pierwszym rzędzie opuszczone i bezpańskie gospodarstwa. W następnym stadium będziemy oddawali Polakom te gospodarstwa, na których żyją dziś i gospodarzą Niemcy. Wreszcie — będziemy wykonywali reformę rolną, będziemy dzielić ziemię, jeśli ktoś będzie jej miał zbyt dużo. Jest to rozumna droga — dająca nam w tej chwili zabezpieczenie wszystkiego, co tam jest i zapewniające wydajność owej ziemi.

Niestety nie wszyscy to w kraju rozumieją. Nie rozumieją częściowo i ci, którzy tam przybyli — by żyć i pracować.

Niektórzy więc nie mogą zrozumieć, dlaczego im proponują objęcie opuszczonej gospodarki poniemieckiej — gdzie oczywiście nie wszystko jest w porządku. W domu mieszkalnym meble zazwyczaj zwalono na kupę, brak bielizny, naczyń, nie ma zapasu jedzenia. W zagrodzie — nieporządek, krów i koni nie ma, świń i drobiu także (zapewne wędrują zdziczałe po pobliskich lasach — co mieliśmy okazję niejednokrotnie widzieć). Niektórzy nie mogą zrozumieć, dlaczego należy obejmować w pierwszym rzędzie takie właśnie gospodarstwa, a nie sąsiednie, gdzie gospodarzą Niemcy — i gdzie mniej więcej wszystko się zachowało.

Młody pełnomocnik reformy rolnej Lewandowski — musi wiele i długo perswadować, że ta gospodarka wnet może się stać równie dobrze zasobną i zagospodarowaną, jeśli nie poszczędzi się gospodarskiej pracy.

Trzeba pojąć, że państwo nasze musi dbać o to, by jaknajmniej stracić z dóbr gospodarczych, jakie na naszym terenie się znajdują — a więc musi w imię tej zasady — osiedlać najpierw na opuszczonych gospodarstwach — by jak największa powierzchnia ziemi miała swojego gospodarza — a co za tym idzie — dawała plon.

Zresztą „skompletowaniu" takiego gospodarstwa czas obecny sprzyja w pewnym sensie. Na drogach, po lasach — znajdziecie wiele.

Przykład dzielnego Lewandowskiego, omal że ucznia z wyglądu, a jednak powiatowego pełnomocnika Reformy Rolnej, który z wiarą i zapałem pomaga nowym gospodarzom we wszystkich trudnościach i to pomaga z realnym skutkiem: daje krowy, konie, sprzęt — świadczy, że tylko energia, inicjatywa i praca jest potrzebną do zwalczania istniejących trudności.



Gospodarstwo Rodowskiego i Domoradzkiego Nowa Wieś, Pow. Lębork Maj 1945 r.

Oto domek czerwony, murowany, za nim schludne obejście, to dzisiaj własność Rodowskiego Józefa, lat 19, i Domoradzkiego Stanisława, lat 27. Pierwszy Warszawiak, wywieziony jeszcze w 40 r. z Warszawy wraz z całą rodziną. Wszyscy: ojciec, matka, rodzeństwo — zginęli w obozach niemieckich. Pozostał się on sam. Nie ma do kogo i poco wracać. Do pracy swej na ziemi — przywykł i pokochał ją w ciągu 5 lat pracy u niemieckiego bauera. Podobna historia Domoradzkiego, który żył przed wojną w Gdyni. Także zdecydował się gospodarzyć, pracować na ziemi. Przydzielono im 12 ha ziemi — właśnie także opuszczone gospodarstwo. Dziś z pomocą reformy rolnej dostali od wojennego komendanta krowy i konie, poznajdywali prosiaki i kury, dom urządzili. Prawda, jeszcze wiele brak, ale ziemia w pełni obsiana i gospodarze już są szczęśliwi. Nie potrzebują do pomocy nikogo — wszystko sami robią! Potem się pożenią i rodzinne życie pójdzie swoją koleją.

Trudno oddać uśmiech radości na ich twarzach, kiedy opowiadają o swoim gospodarstwie, a z jaką dumą oprowadzają po nim pokazując wszystko. Pracowali miesiąc czasu w pocie czoła, od wschodu do zachodu, — ale gospodarstwo jest w porządku. Flaga polska powiewa nad nim zwycięsko.

Inna historia gospodarstwa Amandusa Witko, z pochodzenia Kaszuba, Polaka, który żył przed wojną w woj. gdyńskim. Był tam rządcą niewielkiego majątku. Dziś jest zarządcą w imieniu Rzeczypospolitej 85 ha ziemi w Nowej Wsi, powiatu Lębork. Przyjechał na zachód dostać kawałek ziemi. Dosyć miał pańskiego, chce na swoim sam pracować. Ale słusznie postąpił młody pełnomocnik Reformy Rolnej w powiecie — bo namówił go,



Niemcy pracują w Polskim Gdańsku Maj 1945 r.

by wziął na siebie zarząd opuszczonego niemieckiego folwarku. Przełamał obawy Amandusa Lewandowski. Obiecał mu swą pomoc i dotrzymał słowa. Z opuszczonego, prawie 3 miesiące bezpańskiego folwarku — Amandus Witko ma dziś zagospodarowany folwark. Ziemia zasiana do ostatniej piędzi. Wszędzie porządek. W oborach i stajniach czysto. O sprzęt rolniczy starannie dba— życie idzie tu już normalnym, pokojowym nurtem. Tylko, że pracują u niego Niemcy — sztuk 20 napewno. Mówi Witko, że pracują naogół starannie, że wszystkie jego polecenia są ściśle wykonywane.

Kiedy patrzyliśmy na ich twarze, (są to ludzie w podeszłym wieku — bez wyjątku) — nasuwała się myśl. Czy między nimi nikt się nie ukrywa! Bo trzeba podkreślić, że są to uchodźcy z innych niemieckich ziem. zaś tutejszych jest bardzo mało (siedzą na swoich gospodarstwach). Jest więc różny element, inteligencki jednak przeważa. Nie ma podstaw do uogólniania tego zjawiska, tym niemniej w dalszych swoich planach musimy o tym pamiętać, że ludność niemiecką tam pracującą trzeba przez dobre sita przesiewać!

Witko rozumie kim są, czy też kim może być są — jego pracownicy. Przygląda się im w codziennej pracy starannie!

Witko zamieszkał w Nowej Wsi wraz ze swoją rodziną. Jest ich kilka rodzin polskich w Nowej Wsi.

Są szczęśliwi, że nadeszły do nich wieści, iż w Lęborku otwiera się polska szkoła. Przyjechał inspektor szkolny, przyjechało już kilku nauczycieli. W przyszłym tygodniu otwierają szkołę.

W Nowej Wsi wywieszono ogłoszenie:

ZAPISY DZIECI DO SZKOŁY POWSZECHNEJ

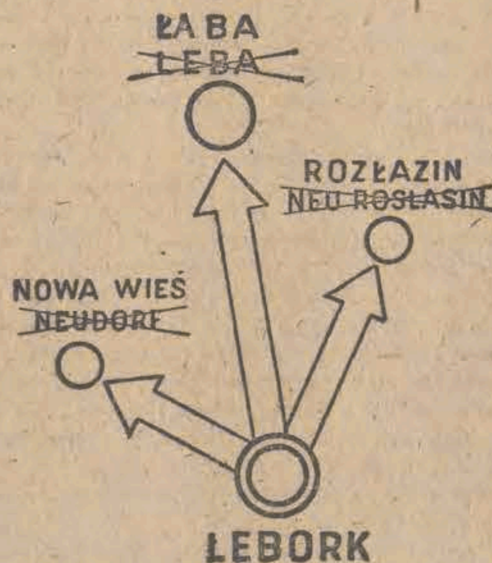
„W związku z otwarciem szkoły powszechnej na terenie miasta Lęborka rodzice dzieci polskich winni się zgłosić do Inspektoratu Szkolnego (ul. Neuendorferstrasse 108). Dzieci podlegają obowiązkowi szkolnemu od lat 7—14 (roczniki 1932, 33, 34, 35, 36, 37, 38).

Zgłoszenie należy dokonać w Inspektoracie Szkolnym w nieprzekraczalnym terminie od dnia 3 maja do 17 maja r. b. w godz. 10—12.

Dzieci, które już uczęszczały do szkoły powinny przedłożyć ostatnie świadectwo szkolne, aby je zaliczyć do odpowiednich 'oddziałów".

Inspektor szkolny
Tadeusz Lubicz-Majewski

Sprawa prosto się nie przedstawia, jak to wynika z rozmowy z inspektorem szkolnym w Lęborku. W samym powiatowym mieście na 10 tys. mieszkańców wyliczono 200 dzieci katolickich.



Dlaczego katolickich? Ano bo katolicyzm jest tu symbolem słowiańskiego pochodzenia.

Te skromne cyfry dają nam pojęcie o ogromie pracy, jaka stoi przed nami. Ile trudu musimy położyć, by z tej ongiś sołwiańskiej ziemi — znowuż słowiańską uczynić, i by biegły szczęśliwe polskie dzieci. Trzeba nam gęsto na tych ziemiach rozsiać polskie szkoły.

Belgrad, pow. Lębork, Maj 1945.

Koszaliński powiat jest polski

Nad Koszalinem góruje piękny gmach polskiego starostwa. Po wszystkich ulicach miasta rozwieszono polskie flagi. Cieszą one nasze oczy. Z murów miasta przemawiają do nas wielkie litery polskich afiszy!

Jest to jedyne miasto na terenach naszych ziem zachodnich które przybrało w tak szybkim czasie zewnętrzne cechy polskości. Widzimy tam napisy, wskazówki, ogłoszenia w języku polskim. Powiat ten odróżnia się od innych naszych powiatów tym również, że wskazówki na skrzyżowaniach dróg są wypisane po polsku. Bo trzeba wiedzieć, że nazw niemieckich tam już nie ma. Umieszczenie polskich nazw obok nazw o brzmieniu rosyjskim — jest symbolem aktywności, inicjatywy, żywotności, elementu polskiego i przedstawicieli władz Rzeczypospolitej na tych terenach.

Koszaliński powiat przoduje w tej akcji. Jest to, prawda, tylko zewnętrzny objaw, lecz za nim idą bardziej istotne — inne, które okiem nawet bacznego obserwatora nie zawsze można zauważyć. Np.: jest istotnie ważną rzeczą, że w każdej gminie powiatu koszalińskiego są już dzisiaj wójtowie — Polacy oraz posterunki Milicji Obywatelskiej. Niestety — w dniu dzisiejszym — koszalińskie ziemie są wyjątkiem pod tym względem. Gdzieindziej — na wójtów są powyznaczani prawda — Kaszubi pochodzenia słowiańskiego, bo katolicy — ale to nie stanowi przecież rękojmi ich dojrzałości i pojmowania ważności stanowiska — reprezentanta Demokratycznej Polski. Przecież jakby szlachetnymi i wytrwałymi Polakami Kaszubi nie byli, to jednak ciąży nad nimi okres niewoli niemieckiej. A w przeciągu tych niewielu tygodni od momentu wyzwolenia nie mogli oni przywyknąć i pojąć wielkości przemian Polski Demokratycznej. Siłą tego faktu wójt gminy Nowa Wieś powiat Lębork — nie może znaleźć wspólnego języka z czołówką młodych, którzy przyjechali do tej gminy i prowadzą tam młyn i tp. przedsiębiorstwa i warsztaty. Trudno nam było zbadać gruntownie tło nieporozumień: w każdym razie sens ich jest mniej więcej taki: wójt gminy wydał zlecenia do młyna na przemiał mąki, wydał je również Niemcom — z natury rzeczy jeść przecież muszą! Młodym polskim zarządcom młyna nie odpowiadały wysokości tych zleceń przemiału dla Niemców.

I trudno tu wydać obiektywny sąd: czy może wójt zbytnio szedł na rękę Niemcom? Czy też zarządcy młyna są zbyt czuli na wszystko, co jest niemieckie i nie pojmują tego, że teraz Niemcy będą dla nas pracować, dla odbudowy naszego i innych krajów zwycięskich. A jeśli pracują — zatym muszą jeść!

Jedno jest pewne, że w miarę zaludniania tych terenów przez Polaków zagadnienia tego typu będą wyraźnie i konkretnie uregulowane przez nasze władze oraz unormowane przez polskie społeczeństwo.

(Dokończenie na str. 4-ej)

WĘDRÓWKA PO POMORZU ZACHODNIM

(Dokończenie ze stronicy 3)

Koszaliński powiat jest polskim powiatem nie tylko zewnątrz. Organizacją jego życia zajął się powiat gnieźnieński. Gniezno wysłało tam swoich najbardziej aktywnych działaczy, cały zespół pracowników administracji państwowej, samorządu i t.p. instytucji. W pierwszej partii przyjechało ok. 700 ludzi. W ślad za nimi przyszły transporty 8 tys. osadników na wieś. To chłopi gnieźnieńskiego, bezrolni i małorolni, którym ciasno było na ziemi ojców, przyjechali objąć tę prastarą polską ziemię. Wszyscy oni przyjechali bez rodzin — w ciągu najbliższego miesiąca myślą ściągnąć je tutaj. I wówczas uwielokrotni się polskość powiatu koszalińskiego!

Transporty z gnieźnieńskiego są dobrze zorganizowane. Jadą z nimi lekarze i sanitariusze. Obecnie w Koszalinie pracują 4-ej polscy lekarze, założono 2 apteki. Organizuje się gimnazjum, szkoły powszechne, internaty dla młodzieży.

Już z pierwszego transportu 700 ludzi skierowano do każdej gminy wójta, sekretarza, zastępcę sekretarza, komendanta Milicji Obywatelskiej oraz po 8 do 10 osadników. O sile elementu niemieckiego, pozostałego na tym terenie mówią cyfry: w mieście Koszalinie przed wojną mieszkało 37.000 mieszkańców. Obecnie Niemców pozostało tam zaledwie ok. 3—4 tys. Taki mniej więcej jest stosunek ludnościowy na terenie całego powiatu. Zaobserwowane zjawisko powszechnego uczenia się przez Niemców języka polskiego należy traktować nie tylko jako objaw lizusostwa niemieckiego, lecz również jako objaw silnych wpływów polskich na terenie tego powiatu. Bo przecież na terenie innych powiatów — zjawiska tego nie obserwujemy.

Z pierwszymi pracami wójtów najlepiej zaznajamia nas instrukcja, którą cytujemy w pełnym jej brzmieniu:

Instrukcja dla obywateli Wójtów poszczególnych gmin powiatu Koszalin.

1. Zorganizować poszczególne gminy (Wójtostwa)

Wyznaczyć sołtysów w każdej wsi względnie gromadzie.

Zarządzić rejestrację wszystkich Polaków, Niemców i t. d.

Sporządzić ewidencję wsi i gospodarstw:
- a) obsadzonych przez Polaków,
- b) obsadzonych przez Niemców,
- c) dotychczas nieobsadzonych, z podaniem ich wielkości oraz stanu inwentarza żywego i martwego.

Nakazać rejestrację wszystkich pojazdów mechanicznych (samochody, traktory motocykle, rowery i t. d.).

Zarządzić obowiązek przystąpienia wszystkich Niemców do pracy.

Stworzyć z osiedleńców polskich Milicję Obywatelską.

2. Zarządzić natychmiastowe poodkrywanie kopcy z kartoflami, przygotować je do sadzenia (do dnia 25 maja muszą być kartofle zasadzone). Pozostałe kartofle przechować na spożycie do odstawy. Zaopiekować się inwentarzem żywym. Nakazać racjonalną pielęgnację tegoż. Nakazać wysiew pozostałych łubinów, seradeli, brukwi i nasion ogrodniczych. Nakazać pielęgnację drzew owocowych i pszczół.

3. Zabezpieczyć wszystkie instytucje, jak szkoły, szpitale, kościoły, mleczarnie, spółdzielnie i sporządzić wykaz tychże.

Zarządzić rejestrację lekarzy, dentystów, akuszerek i personelu sanitarnego.

Zarządzić natychmiastowe usunięcie i zakopanie trupów, przy czym należy stwierdzić tożsamość nieboszczyka.

Zarządzić natychmiastowe usunięcie i zakopanie padliny, śmieci, oraz uporządkowanie dróg wiejskich, jak również obejść gospodarskich.

Wyznaczyć dróżników celem uporządkowania dróg publicznych.

Koszalin, 15 maja 1945 r.

Zastępca Pełnomocnika Rządu R. P.
obwodu Koszalin
(D. Konczak)

Długo nie zniknie z naszej pamięci widok odprawy Milicji Obywatelskiej całego powiatu, którą przeprowadzał starosta koszaliński. Młody starosta ob. Konczak mówi o ważkości pracy Milicji Obywatelskiej, o wielkim obowiązku dbania o bogactwa gospodarcze, dziś przecież polskie, które ochraniać i za które odpowiadać musi Milicja Obywatelska.

Przemówienia starosty oddział Milicji słucha ze skupieniem! Kto są ci milicjanci? Przede wszystkim młodzież. Widzieliśmy niektórych z nich patrolujących po ulicach miasta. Młody chłopak z polską rogatywką na bakier głowy narzuconą, przez plecy karabin — jedzie sobie na rosłym koniu po ulicach polskiego miasta Koszalina. Ściągnęli ci chołpcy w większości z gnieźnieńskiego powiatu, mają zazwyczaj pokończone 6—7 klas szkoły powszechnej. Wywiązują się ze swych zadań dobrze — wedle opinii zebranych w licznych rozmowach z obywatelami polskimi miasta i powiatu Koszalin. A co najważniejsze, nie ulegają pokusom — a tych wiele pod rękę się podsuwa: grabieży, pospolitego szabru, czy też bezsensownego terroru w stosunku do ludności niemieckiej.

Oczywiście w pracy swej napotykają koszalińscy pionierzy na wiele trudności. Ciężko z aprowizacją. Niemcy powywozili zapasy. W innych powiatach, gdzie mniej Polaków ściągnęło — łatwiej mogą sobie zabezpieczyć żywność. Poza tym powiat koszaliński, jako wysunięty daleko na zachód jest objęty jeszcze prawami wojennymi, a zatym młyny, piekarnie i t. p. są pod zarządem wojskowym i siłą tego faktu zabezpieczenie ludności cywilnej jest dopiero na drugim planie.

Jeśli chodzi o podział bydła rogatego i nierogatego między Armią Czerwoną i polską ludnością — to przez starostwo i reprezentantów partii politycznych zostało zagadnienie to postawione właściwie. Delegacja polska porozumiała się z dowódcami Armii Czerwonej i dziś społeczeństwo polskie oczekuje pozytywnego zrealizowania propozycji polskich (wzorem wojew. bydgoskiego — po 50%).

Podkreślić również należy b. poważne trudności z jakimi stykają się placówki polskości oraz wojenni komendanci Armii Czerwonej w związku z powrotem Niemców - uciekinierów z tych terenów.



Anastazy Januszewski, polski osadnik w Nowej Wsi, pow. Słupsk

W większości wypadków Polak pozostaje tak jak i był właścicielem nadzielonej mu ziemi, a Niemcy są oddani do jego dyspozycji jako robotnicy rolni, ale zdarzają się pojedyńcze wypadki, że zwraca się Niemcom ich gospodarstwa — przesiedlając Polaków gdzieindziej. Wywołuje to słuszny niepokój wśród polskich osadników, a nawet jest realnym hamulcem ich pracy zagospodarowywania się na nowej ziemi.

Trzeba podkreślić, że takie wypadki mają miejsce tam, gdzie polskie władze administracyjne nie stoją na wysokości swego zadania, tam, gdzie polski element jest ilościowo niewielki i niezbyt prężny.

Koszalin, Maj 1945.

Cyfry są prztłaczające — biją na alarm

Jacy ludzie — taka ich praca!

Słupsk jest tego najlepszym przykładem.

W mieście porządek. Milicja Obywatelska dzielnie pracuje. Ale cóż, rzecz zasadnicza! Słupsk pusty — potrzebuje ludzi wszelkich zawodów.

A starosta nie umie rozwinąć szerzej swej pracy, bo Polaków jest w powiecie zaledwie kilkuset. Starostę Słupska, tak samo jak innych starostów winić należy o to, że Polska zbyt mało wie, że sam Słupsk, że wiele miast i wsi tamtejszych potrzebuje tak wielu ludzi, na wieś — osadników, do miast — robotników;

Polska zbyt mało o tym wie! A przecież są możności pomocy staroście Słupskiemu we wszystkich jego bolączkach: ludzie chętni w Polsce się znajdą!

I myślę, że pewnym symbolem jest następujący fakt: dotąd starosta słupski nie posiada stempla urzędowego, natomiast sygnuje wydawane przez swój urząd dokumenty odbiciem orła Rzeczypospolitej z dawnej pięcio-złotowej *monety przedwojennej.*

W powiecie jeden z kapitanów Armii Czerwonej został wydelegowany dla stałej współpracy z polskimi władzami. Kapitan Klemeńczuk, z pochodzenia Ukrainiec, jest szczerym przyjacielem Polaków. Współpraca z nim, a poprzez niego z komendantem wojennym układa się niezwykle pozytywnie.

Ale czemże są wszelkie wysiłki tak Polaków, jak i naszych sojuszników, jeśli cyfry, cyfry są przytłaczające! W mieście jest 28 tys. Niemców i 290 Polaków, w tym 70 milicjantów. W powiecie do 15 maja osiedliło się 45 przesiedleńców, w tym zaledwie 1 repatriant.

Ale to jest pocieszające, że to, co się robi, robi się dobrze, mówi kapt. Klemeńczuk. Polska kolonia, bo tak ją można dzisiaj nazwać, zorganizowała właściwie swe życie wewnętrzne. Mój rozmówca ze specjalnym uznaniem wyrażał się o działalności Milicji Obywatelskiej, która nie wykorzystuje swego zbrojnego położenia. Młodzież, która przyjechała, i stanowi Milicję Obywatelską nie jest zdemoralizowana wojną — stwierdza kapt. Klemeńczuk.

Również słowa uznania słyszymy od niego o działalności Urzędu Ziemskiego.

Już wchodząc do budynku Urzędu Ziemskiego, zauważamy tam porządek i panujący ład. Właśnie ściągnęli tam z dalekich stron centralnej Polski osadnicy. Przyjmują ich w Urzędzie, objaśniają i pomagają — gdzie i jak przenocować, co zjeść, oto właściwe przyjęcie dla ludzi, którzy przebyli znojną drogę. Wreszcie skierowują ich jak najszybciej do przydzielonych gospodarstw.

Powiat słupski jest przykładem powiatu, który jest organizacyjnie przygotowany do przyjęcia długich kolumn polskich osadników. Czeka na nich.

Słupsk, Maj 1945.

Anastazy Januszewski

Niedaleko Słupska leży wieś Weddin. Bliskie i pamiętne tamtejszym Niemcom są czasy, kiedy w folwarku żył gestapowiec Heinrich von Hoff. Dostał on ów folwarczek jako nagrodę za specjalne zasługi. Ciężkie życie rozpoczęło się od tego momentu dla okolicznej ludności polskiej. Pod strachem zapędzania do obozów koncentracyjnych, pod strachem gestapowskich represji — zmuszał on wszystkich do darmowej roboty na swojej ziemi. Znienawidzili go wszyscy.

Dziś nad folwarkiem Heinricha von Hoff powiewa flaga polska — a właścicielem ziemi jest obywatel Anastazy Januszewski, Mazur z krwi i kości.

Osiadł on tam z całą swoją rodziną i wszelki ślad życia niemieckiego znikł z owej ziemi. W domu schludno i po mazursku — nic, coby przypominało niemieczczyznę! Wszystko zaś tchnie polskością!

I z polską, chłopską dokładnością wszystko zrobione w tym gospodarstwie. Ziemia cała zasiana. Powiatowy komisarz ziemski ob. Nowak pomógł w zaopatrzeniu gospodarstwa w konie, krowy, świnie. Januszewski z rodziną żyje dostatnio, chwali sobie śmiałą swoją decyzję z przed dwu miesięcy — przeniesienia się na zachód. Takich jak Januszewski może być bardzo wielu. Niechaj tylko chłopi zechcą, niech tam jadą, niechaj ziemię wezmą i trzymają. Jest i będzie ona nasza!

Weddin, pow. Słupsk. Maj 1945.

Soldin czy Myśliborz?

Dziś jest jeszcze Soldin. Dziś jest jeszcze wszystko po niemiecku. Kiedy los zaprowadził nas do tego powiatowego miasteczka, wzrok z niepokojem szukał znaku życia polskiego.

Wreszcie flaga polska na rynku. Od właśnie spotkanego milicjanta dowiadujemy się, że tu urzęduje burmistrz, że w powiecie nie ma jeszcze starosty, a więc burmistrz jest tu najwyższym reprezentantem. Przechodzimy 2 czy 3 pokoje biurowe, by w ostatnim usłyszeć wrogą nam niemiecką mowę. I tu w urzędzie burmistrza polskiego Orbaczewskiego w jego nieobecności — nikt nam nie umie po polsku odpowiadać.

Powiat Myśliborz nie jest jeszcze dzisiaj godny swej polskiej nazwy. Zresztą nigdzie, w całym powiecie jego nazwy w polskim języku nie znajdziecie. Miłe dusze znajdujemy tylko w Komendzie Milicji. Tam nam mówią, że w całym powiecie jest zaledwie 150 Polaków z nich dwudziestu kilku milicjantów. Burmistrz jest wyznaczony przez wojennego komendanta i nie pozostaje w bliskim kontakcie z Milicją Obywatelską — choć ona jest jedynym ośrodkiem polskości. Burmistrz zorganizował w ten sposób swoje biuro, że prócz jednej Polki — sekretarki, pracują u niego wyłącznie Niemki — posługując się oczywiście swoim językiem w prowadzeniu wszelkich ksiąg i zapisów.

Jest to fakt bolesny i przemawiający do nas wyraziście: nakaz chwili — wytężyć wszystkie siły, by ziemie na zachodzie stały się znów polskie!

A tymczasem w myśliborskim powiecie nie przyjmuje się repatriantów czy też osadników. Kto bowiem to ma robić?

Sekretarka burmistrza z własnej inicjatywy i w porozumieniu z wojennym komendantem zajęła się jednym z przybyłych osadników. Oczywiście przydzielono mu opuszczone gospodarstwo. Niezadowolony z tego, iż w domu brak bielizny i statków a w oborze i stajni — krów i koni — obrabował on przeciągającą drogą niemiecką rodzinę. Niemcy zwrócili się do wojennego komendanta po sprawiedliwość — osadnik nasz został aresztowany. Po wyjściu z aresztu natychmiast opuścił powiat, w którym tak niefortunnie rozpoczął swe życie i pracę.

Są więc i takie pojedyńcze wypadki. Ale wiadomo — ludzie są różni i koleje ich różne. Opowiedzieliśmy wszechstronnie i jedno i drugie — dla przykładu, dla wszystkich, żeby znać i wiedzieć jedno: jechać na zachód — wpić się w tę ziemię pazurami i wówczas będzie ona naszą.

Starogard, maj. 1945.



ANTONI OLCHA

NAPRAWA Z BIEDĄ WOJUJĄCA

Jak chłopi wyruszyli na Zachod

Któż nie słyszał o małej górskiej wiosce Naprawie? Wieś ta zyskała rozgłos, wdarła się do literatury, stała się symbolem chłopskiej biedy i cierpienia, a jednocześnie symbolem pracy i walki. Wielu spośród tych, którzy czytali powieść Jalu Kurka „Grypa szaleje w Naprawie", sądziło, że wieś taka wogóle nie istnieje, że treść książki jest artystycznym zmyśleniem. Jednakże w rzeczywistości jest inaczej. Powieść Kurka, obok tego, co się zwykło nazywać „prawdą literacką", ożywia bystry nurt surowej prawdy życia. Wśród bohaterów tej powieści są tacy, którzy naprawdę żyją, mieszkają i pracują w Naprawie. Jeden z nich działa nawet obecnie jako członek grupy organizacyjnej Nowej Naprawy — wsi, zakładanej przez naprawian w [illegible] powiecie prądnickim, między Odrą i Nissą.

Naprawa ogłosiła uroczyście współzawodnictwo w obejmowaniu wyzwolonej piastowskiej ziemi na Zachodzie. Wezwanie naprawian przyjęli z gorącą życzliwością przedstawiciele chłopów z całego kraju, zgromadzeni na święcie ludowym w Warszawie, w dniu 20 maja 1945 roku. Wezwanie naprawian spotkało się z żywym zrozumieniem w masach ludowych. Naprawskie współzawodnictwo ogarnęło w pierwszym rzędzie macierzysty powiat myślenicki. Dziś staje się dla wszystkich chłopów podnietą do konkretnej, tworzącej pracy na wsi.

„Precz z biernością"

Kiedyś wokół książki Kurka toczyła się namiętna dyskusja. Ja sam wówczas, jako naprawianin i jako piszący, miałem pretensje do autora „Grypy", że zbyt czarno, zbyt beznadziejnie przedstawił nasze życie. W książce tego rodzaju chciałem widzieć efektowną walkę, o lepsze jutro. Tymczasem z kart powieści dymiło jesiennym smutkiem i ostrą ironią. To był protest w imieniu tej ogromnej masy chłopskiej, która stała poza wszelką aktywną działalnością polityczną, społeczną, gospodarczą, organizacyjną i kulturalną. Ale tkwiła w samym środku najgorszej nędzy i poniewierki. Bierność chłopa z powieści Kurka — złościła ludowego czytelnika. Prawda w oczy kole. Przez to niejeden tym goręcej pragnął czynem wykazać, że w rzeczywistości jest inaczej. To było pozytywne oddziaływanie „Grypy" na wieś. Kurek odsłonił poważną część istotnej prawdy o chłopie. Książka jego, budząc sprzeciwy, alarmowała, że nie jest tak jakby się zdawało zwolennikom postępu, ani tak, jak to usiłowali głosić ówcześni rządzący wstecznicy. Pierwszym mówiła, że poza chłopami, skupionymi w demokratycznych organizacjach istnieje ogromna masa takich, którzy nie biorą udziału w żadnej walce, oprócz walki z ziemią i własną, domową biedą. Drugich zaś demaskowała gruntownie, mówiąc całemu światu, że są w Polsce tacy chłopi, o jakich się na corocznych „dożynkach" w Spale przenigdy nie wspominało.

„Grypa" pogłębiła patrzenie całego społeczeństwa na wieś. Dla samych zaś chłopów stała się wyrzutem sumienia i uprzytomnieniem rzeczy ważnych.

Bieda biedą, ale przecież trza walczyć.

— Nie można tak, coby ino wciąż w brudzie, w gnoju i cierpieniu się topić. Trza się brać do roboty.

Czytali chłopi w całej Polsce, czytali chłopi naprawscy „Grypę" i krzywili się:

Ino nam wstydu narobił, skarżyli się jeden przed drugim. Aż kiedyś doszli do przekonania, że to i owo jest prawdą. Są ludzie tacy i tacy. Jest wstyd, gdy się człowiek poddaje przeciwnościom.

— Precz z biernością! Wszyscy muszą się dźwigać ku słońcu!...

„Wieś — jej pieśń"

W roku 1933, już wówczas, kiedy Kurek pisał swoją powieść o cierpiącej Naprawie — powstało tam pierwsze w Polsce chłopskie pismo literackie „Wieś — Jej Pieśń", przekształcone później na „Nową Wieś". W uciemiężonej przez biedy różnorakie wsi znaleźli się ludzie, którzy rozumieli ważność i potrzebę takiej gazety. Prości chłopi z Naprawy, Lubnia, Jawornika, Krościenka, Paszkówki, Łużnej i wielu innych ośrodków, oraz ludowi pisarze, pracujący w tych środowiskach, potrafili wspólnymi siłami stworzyć bujne ognisko kultury. Poczynania te stały się dumą chłopów. W dziesiątkach najbiedniejszych wiosek organizowano kursy oświatowe i wieczory literackie. Odbywały się one w stodołach, szopach, domach ludowych i w chłopskich chałupach. Chłopi jęli uparcie szukać w sobie głębszych wartości, jęli wartości te wydobywać na światło dnia.

W roku 1937 naprawianie brali masowy udział w strajku chłopskim. W latach okupacji zwalczali hitlerowskich ciemiężycieli wszelkimi sposobami.

Ale problem, postawiony w książce Jalu Kurka nie zniknął jeszcze. Trwa. Ciągle jest aktualny i żywy.

Droga wolności

W lutym 1945 zbliżył się ku Naprawie front. Niemcy rozkopali drogę, prowadzącą przez wieś, powysadzali mosty. Chcieli w ten sposób zatrzymać napór Czerwonej Armii. Istotnie rozkopy utrudniały ogromnie szybkie przerzucanie transportów na front. Naprawianie słyszeli dudnienie dział w pobliżu. Wówczas to zabrali się masowo do pracy przy drodze. Czy tam kto kogo wzywał do roboty, czy nie, obojętne, gdyż garnęli się do niej wszyscy. Harowali od świtu do nocy uparcie i zapalczywie.

— Jeszczem się nigdy tak nie napracował, jak przy naprawianiu tej drogi, mówił Franek Mirek.

— Prawda jest, harówka była sakramencka, ale za to jak transporty ruszyły, jak podjechały czołgi, tośmy odrazu przestali słyszeć hitlerowskich rozbójników!

— Jak było nie budować takiej drogi, skoro to była poprostu droga do naszej wolności i do wolności naszych braci, zwierzają się mieszkańcy wioski.

Dzisiaj dumni są z tego, że w ciągu niewielu dni potrafili usunąć poważne zniszczenia.

Było to pierwsze twórcze dzieło wyzwolonej Naprawy.

Przemiany

Przeobrażenia w chłopskim życiu nie są sprawą tak prostą, jak to sobie wyobrażają ludzie nie znający bliżej wsi. Jest tu ogrom trudności, które gromadziły się na naszej drodze w ciągu długich lat. Wiele przeszkód stwarzamy sami, dając się powodować swoim wadom, złym nawykom, opieszałości. W czasie wojny przyzwyczailiśmy się do tej myśli, że z chwilą nastania pokoju rozpocznie się święto łatwego i wygodnego życia. Tymczasem teraz dopiero trzeba skupić do walki i pracy wszystkie siły. Borykać się. Przebijać się przez gęste zarośla codziennych niedomagań.

Naprawa nie skorzystała z parcelacji. Obszarów dworskich we wsi nie było. O reformie rolnej chłopi tutejsi czytali w gazetach, ale bezpośrednich jej skutków nie doświadczyli. Niejeden we wsi mówił, że możnaby wprawdzie to, lub tamto wymyśleć i zrobić, ale czy to warto? Codzienne troski zbyt mocno przygniatały chłopski ogół. Mówiono:

— Trzebaby coś robić. Ale co?

— Ale — jak?

1736 A.

Krok za krokiem — ale naprzód

Któregoś dnia zorganizowano Związek Samopomocy Chłopskiej i Gminną Spółdzielnię Samopomocy Chłopskiej. To pobudziło ludzi do myślenia i działania. Zaczęli dochodzić do przekonania, że wieś, licząca około 2 tysiące mieszkańców, nie może dłużej żyć na 850 ha ziemi. Tak dłużej być nie może.

Naraz zadźwięczała wieść, że Józef Majerek wyjechał na Pomorze. Małorolny chłop, biedny, a taki ruchliwy! Poderwało to innych do czynu. Ale ostrożniejsi mówili:

— Niewiadomo, co tam się stało z Majerkiem. Czegoś długo nie wraca.

— Pewnie zginął. Mina go rozerwała.

Kiedy jednak Majerek wrócił zdrowy i uśmiechnięty i kiedy opowiedział jaka tam ziemia na Zachodzie urodzajna — gruchnęło hasło:

— Jedziemy na Zachód!

Odbyła się narada. Chłopi postanowili wysłać delegację dla wyszukania odpowiedniego miejsca na osiedlenie się. Postanowiono bowiem pójść masą, zorganizowaną wzorowo kolumną.

Delegat Naprawy pojechał do Pow. Komitetu Przesiedleńczego i do Zw. Samopomocy Chłopskiej w Myślenicach. Rozpoczęły się żmudne starania o auto. Naprawską inicjatywą zainteresowało się także starostwo i Pow. Rada Narodowa.

Na zebraniach gromadzkich w powiecie rozpłonęły dyskusje na temat wyjazdu nad Odrę.

— Bójcie się Boga, chłopy, to naprawianie jadą, a my siedzimy i gnieciemy się na miejscu? — grzmiały głosy w Bystrej, Skomielnej, Jordanowie, Myślenicach.

—O Naprawie mówią już w całym kraju, a my to gorsi?!

W ciągu niewielu dni listy ochotników powiększyły się o tysiące nazwisk. Idea chłopów naprawskich zawładnęła sercami mieszkańców ubogich wsi i miasteczek.

Takich wiosek jak Naprawa jest w Polsce tysiące. Czytając o Naprawie miejcie je wszystkie przed oczami. Myślcie o nich. Każda z nich łamie się ze swoją biedą i biernością jednostek. Każda z nich ma swój honor, swoje powody do słusznej dumy. Tak jak każda z nich stara się iść naprzód, zdobywając w trudzie i znoju przyszłość. Krok za krokiem.

Dalekie spojrzenie

Nie łatwo jest pisać o wsi, którą się kocha. Chciałoby się pokazać wszystko, a wyrywa się z życia szczegóły, które na papierze tracą właściwą barwę. Najczęściej zapomina się o rzeczach najważniejszych. A ważnym jest zadokumentowanie faktu, że obok tysiąca drobniejszych pobudek, chłopem polskim kieruje w działaniu poczucie odpowiedzialności za losy całej Ojczyzny. Współczesny wsiowy człowiek patrzy daleko i przenikliwie.

— To, co my zrobimy, to jest wielka rzecz dla mas, mówiono na radzie gromadzkiej w Naprawie. A tu przecie takich Napraw jest dużo. Jakby się tak wszyscy wzięli do roboty, toby dopiero coś było!...

— ...Skoro my ogłosimy swoje uchwały, wtedy inni muszą się zawstydzić, że taka biedna wieś jak Naprawa nie zasypia gruszek w popiele...

— Honor honorem, stwierdza sołtys Filipiak. Ale u nas żyto płone. A na Zachodzie rośnie piękne, bujne, kłosiste. Trzeba pomyśleć o tym kto to ma zbierać?

— To wej, kumie! Przecie musimy wyżywić wojsko, robotników, rzemieślników inteligentów.

— Jak chcecie, żeby szewc klepał buty, a urzędnik załatwiał wasze sprawy, to im musicie dać jeść.

— Bez jedzenia nie mogą pracować.

— Wierę!... Słusznie mówicie.

Zachód nas woła

Zawędrowali naprawianie na zachód od Odry. Spodobał im się powiat prądnicki. Gospodarstwa tam ładne, ziemia pszenno-buraczana. Kultura łąk wysoka. W budynkach gospodarskich zastali nieład, ale to szybko można uporządkować. Stodoły i obory są duże. Nie brak maszyn rolniczych. Brak tylko inwentarza żywego. Urodzaje wspaniałe.

— Ani chwili nie zwlekać! Brać ziemie na Zachodzie tak, jak braliśmy ją w czasie parcelacji. Przyjść i brać!

— Musimy tu być przed żniwami!

Tak mówili naprawianie w Prądniku. To samo powtarzają teraz chłopom swoim w powiecie delegaci, którzy wrócili po kolumny przesiedleńcze.

— Zachód nas woła! — mówią na zebraniach chłopscy działacze Garncarczyk, Dziurlaj i inni.

— Idziemy! — odpowiadają gromady.

Wielokierunkowość pracy

Akcja przesiedleńcza jest jedną z wielu prac, które wieś prowadzi. Między Odrą i Nissą jest już pierwsze organizacyjne jądro Nowej Naprawy. Dziesiątki odważnych pionierów. Przygotowują grunt dla tych, którzy nadciągają.

Jednakże i w „starej" Naprawie dzieje się wiele spraw niecodziennych. Synowie chłopscy uczęszczają do gmnazjum w pobliskim Jordanowie. Szkoła w Naprawie organizuje własną bibliotekę. Trzy tutejsze nauczycielki uczą ponad trzysta dzieci. Poza tym szkoła stała się głównym ogniskiem organizacyjnego życia wsi. Co niedzielę zbierają się tam chłopi - spółdzielcy. Przychodzą też na narady przesiedleńcy. Czyni się przygotowania do uruchomienia we wsi cegielni. Jest już także maszyna do wyrobu dachówki. Samopomoc Chłopska stara się o założenie spółdzielczego sklepu. Weś otrzyma światło elektryczne. Przystąpiono też do zorganizowania naprawskiego letniska. Okolica jest piękna, a powietrze tutejsze posiada wybitne właściwości lecznicze. Przed wojną Naprawa jak i cała Jordanowszczyzna — ściągała tłumy letników z Krakowa.

Coraz to więcej we wsi takich, co myślą i czynem uderzają w zapory starych bied, co z miejscowych możliwości starają się wykuć doskonalszy kształt chłopskiego jutra.

Naprawskie współzawodnictwo

Naprawskie współzawodnictwo to zjawisko realne, świadczące o pionierskich dążnościach chłopskich gromad.

— Tylu naszych wędrowało za morza, — powiadają naprawscy ludzie, — budować tam na cudzej ziemi nowoczesne osady, koleje i fabryki. Niechże już raz zaczniemy budować u siebie i dla siebie.

Usłyszycie jeszcze o Naprawie niejedno. O Naprawie i o tysiącu innych wsi, które, jak ona, postanowiły twardo zdobywać swoją wielką przyszłość.

Dziś nie jest to już frazesem. Piękniejsze życie gromad znajduje się na odległość odważnie wyciągniętej chłopskiej ręki.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

TRZY SPÓŁDZIELNIE

Związek Samopomocy na tle przemian spółdzielczych

Były to czasy najwspanialszego rozwoju kapitalizmu. Połowa 19 wieku — w ciągu 20 lat przemysł europejski rozwinął się, jak nigdy przedtem poprzez setki lat. Anglia pokryła się miastami fabryk — osiedla takie jak Liverpool i Manchester w ciągu paru miesięcy stały się z prowincjonalnych miasteczek potwornymi mrowiskami, najruchliwszymi centrami świata, istnymi diablimi młynami. Różnorodność i obfitość produkowanych towarów zadziwiła świat; morze zaroiło się okrętami przewożącymi pod biegun i pod zwrotniki wytwory europejskiego przemysłu.

Ten rozkwit cywilizacji przypisywano sukcesom gospodarki kapitalistycznej, która w owym czasie budziła powszechne zachwyty. Nie dostrzegano jeszcze drugiej jej strony: kosztów jakie ludzkość zapłaciła, skutków jakie ów sukces sprowadził na klasę robotniczą, tworząc zapas krzywdy na całe wieki. Robotnicy pracowali po 14 godzin na dobę, a ponieważ zarobek był śmiesznie mały, pracować musieli wszyscy członkowie rodziny, do małych dzieci. Wdychanie pełnego kurzu powietrza hal fabrycznych, niszczyło płuca, a mieszkali robotnicy po kilku w ciasnych i wilgotnych izdebkach, mieszczących się w domach czynszowych i barakach, budowanych masowo dokoła fabryk.

Wtedy to przed ludem pracującym stanęła pierwsza konieczność:

ZNSZCZENIA KAPITALIZMU – REWOLUCJI.

Ale zanim doszło do tego, ciągnęły się lata nędzy i walki. By więc przetrwać, by się obronić, by móc dożyć czasu zwycięstwa — trzeba było podjąć drugą konieczność:

POMOCY WZAJEMNEJ – SAMOOBRONY – SPÓŁDZIELCZOŚCI.

U źródeł pierwszej spółdzielni

Jednym z najwybitniejszych myślicieli owych czasów był Darwin. Ten angielski uczony stworzył teorię, z której wynika, że postęp świata tworzy się w walce. Darwin obserwował zwierzęta i rośliny i zauważył że w przyrodzie zwyciężają te jednostki, które są silniejsze, zdrowsze i zręczniejsze. Z dwóch zająców przeżyje ten, który ma słuch delikatniejszy i dlatego zdoła uniknąć drapieżnych wrogów; z dwóch wilków ten nie zdechnie z głodu który będzie silniejszy. Te zwycięskie jednostki zostają na placu i przekazują swoje cechy dodatnie: siłę, zręczność, wytrwałość — swoim dzieciom. W ten sposób przyroda wciąż się doskonali.

Teorię tą chętnie przenosili obrońcy kapitalizmu na teren życia społecznego. I tam — mówili — zwycięża przebieglejszy, silniejszy, a więc bardziej wartościowy. W ten sposób dzieje się coraz lepiej, bo do rządów światem dochodzą najbardziej do tego uzdolnieni. Dla słabych nie było litości: nie mogą sobie dać rady, więc muszą zginąć, albo się przystosować.

Otóż nakładem „Społem" wyszło w ciągu ostatnich trzydziestu czy czterdziestu lat kilkanaście większych i mniejszych książeczek. Nie na nadzwyczajnym papierze, bo trzeba było żeby tom każdy był jak najtańszy. Ze wzruszeniem patrzymy dziś na tę społeczną biblioteczkę, na której wychowały się pokolenia spółdzielców. Jest między nimi książeczka, do której napewno zaglądał i dr Judym i Jędrzej Radek Żeromskiego:

PIOTR KRAPOTKIN: POMOC WZAJEMNA JAKO CZYNNIK ROZWOJU (około 1880).

Krapotkin uchodził za niebezpiecznego rewolucjonistę, anarchistę, i musiał uciekać z ojczyzny, poszukiwany przez carską policję. Umarł na obczyźnie; jest to jedna z najpiękniejszych postaci swoich czasów, a dziełko jego natchnione jest miłością i sympatią do ludzi.

Co bowiem zauważył Krapotkin? Książkę swoją wypełnił on poczynionemi przez siebie i zapisanemi przez innych badaczy spostrzeżeniami z życia zwierząt. Wynika z nich, że nietylko mrówki, pszczoły i bobry tworzą społeczności pomagających sobie wzajemnie, ale że pomoc taka istnieje nawet między pojedyńczo żyjącymi stworzeniami: np. bociany opiekują się towarzyszem, który złamał skrzydło. I twierdzi Krapotkin coś wprost przeciwnego do posępnej tezy Darwina: ŻYCIE I POSTĘP ISTNIEJA DLATEGO ŻE STWORZENIA POMAGAJĄ SOBIE, NIE DLATEGO ŻE SIĘ ZWALCZAJĄ.

Nie idzie o to, czy Krapotkin miał słuszność czy nie; mógł się mylić, a jednak jego książeczka wielu ludzi podniosła na duchu i stała się jedną z zasadniczych lektur spółdzielczych. W owym czasie gdy Roczdelczycy zorganizowali Spółdzielnie wystąpiło kilku pisarzy i myślicieli, którzy pragnęli zostać dobroczyńcami ludzkości i wskazywali ludowi pracującemu drogi pocieszenia i samoobrony: mylili się oni często i więcej mieli chęci niż słuszności. Nazywamy ich dzisiaj socjalistami utopijnymi, chcieli oni usunąć niesprawiedliwość drogą fantastycznych i romantycznych pomysłów. Przeciwstawiamy im socjalistów naukowych, którzy oparli projekt reformy społeczno-gospodarczej świata na ścisłych dowodach i obserwacjach naukowych. Socjalistą utopijnym był Anglik Owen, Francuz Fourier i inni. Proponowali oni rozmaite fantastyczne rozwiązania, np. założenie falansterów, t. j. wspólnych domów po 2.000 mieszkańców, albo rządy inżynierów i uczonych. Fourier twierdził że po przeprowadzeniu reform, w morzu będzie lemoniada zamiast wody, a wieloryby będą się zaprzęgały do ciągnięcia okrętów.

Tak się złożyło, że właśnie ci pisarze-marzyciele, często maniacy, dzisiaj nas śmieszący, stali się głównymi autorami, na których powoływali się twórcy spółdzielni. Jak zobaczymy, miało to wielkie znaczenie: gdy lud przygotowywał rewolucję, wspierany przez nowy naukowy socjalizm, spółdzielnia człapała ztyłu, i wreszcie nadszedł okres gdy nietylko przestała bronić interesów klas pracujących, ale nawet zaczęła im szkodzić, działając na korzyść systemu kapitalistycznego i zmierzając do pogodzenia ludu z nim. Jedną z przyczyn tego zjawiska było to, że pierwszymi myślicielami ruchu spółdzielczego byli marzyciele, którzy właściwie nie przeciwstawiali się systemowi kapitalistycznemu, tylko starali się go złagodzić w imię nieokreślonych ideałów sprawiedliwości. Dlatego Marks zaatakował socjalistów utopijnych niemniej gwałtownie jak teoretyków kapitału; nazwał ich „burżuazyjnymi kaznodziejami" i napisał ośmieszającą ich książkę „Nędza filozofji"; była to odpowiedź na dzieło utopisty Proudhona „Filozofia nędzy".

Pierwsza spółdzielnia

Pierwszy więc typ spółdzielni powstał na tle samoobrony gospodarczej ludu i pod wpływem utopijnej literatury o sprawiedliwem przekształceniu świata przez pomoc wzajemną słabych między sobą. Takie były pierwsze humanitarne próby Owena, taką była „Spółdzielnia Sprawiedliwych Pionierów" założona w r. 1844 przez robotników angielskiej mieściny Rochedale, pierwsza spółdzielnia spożywców na świecie. Przyświecały jej naiwne hasła moralne, piękne, szlachetne, chrześcijańskie i umiarkowane. Nie pragnęła ona walki z ustrojem na którego tle powstała ale wyrażała nadzieję, że ustrój ten z czasem się zmieni przez rozbudowę spółdzielni. Jak to miało nastąpić? tego dokładnie nie było wiadomo. To była pierwsza Spółdzielnia zorganizowana na podstawie czterech zasad, które potem przeszły do statutów wszystkich spółdzielni świata:

1. każdy z członków wpłaca mały udział,
2. każdy z członków ma jednakowe prawa i jeden głos,
3. zarobek spółdzielni idzie na nabycie nowych towarów i nie może być rozdzielony między członków,
4. sprzedaż wyłącznie za gotówkę.

C e l: obrona doraźna członków przed wyzyskiem handlarzy.

Ta pierwsza spółdzielnia wspominana jest przez działaczy spółdzielczych ze szczególnym sentymentem. Jak czule pisze o Owenie i Roczdelczykach Abramowski, wielki nasz ideolog spółdzielczy! Wszyscy ci działacze z czasów Żeromskiego i rewolucji 1905 roku, którzy marzyli o nowej pięknej wsi, dla których biały domek z szyldem „Spółdzielnia" stawał się jakby kościołem nowej wsi, kościołem od którego rozchodzi się coraz bogatsze dobro, wszyscy ci pilni czytelnicy Krapotkina wydanego na gazetowym papierze, wspominali ze szczególnem przywiązaniem pierwszą angielską, romantyczną i humanitarną spółdzielnię. Może dlatego, że miała dla nich blask tradycji historycznej, jak dla Polaków ma postać Piasta; ale raczej dlatego, że jej duch był tak pokrewny naszym szlachetnym idealistom. Ta pierwsza spółdzielnia była to bowiem:

SPÓŁDZIELNIA MARZYCIELSKA.

Ale patrzmy co się dzieje dalej:

Druga spółdzielnia

BY UTRZYMAĆ SIĘ I MÓC SKUTECZNIE KONKUROWAĆ NA OGÓLNYM RYNKU GOSPODARCZYM, SPÓŁDZIELNIA MUSIAŁA PRZEJĄĆ ŚRODKI I SPOSOBY DZIAŁANIA KAPITALISTYCZNE.

Czem bowiem różni się sklep spółdzielczy od sklepu który jest własnością jednostki? Tem tylko, że dochodem rozporządzają udziałowcy, nie pojedyńczy właściciel czy kapitalista. Ale nazewnątrz spółdzielnia postępuje jak każde inne kapitalistyczne przedsiębiorstwo. Prowadzi taką samą rachunkowość, opartą na chęci największego zysku, stara się nabyć jak najtańszy towar i spieniężyć go za najwyższą cenę, wielką część budżetu obraca na reklamę, zachwalając swoją pracę taksamo, jak to robią firmy kapitalistyczne. Spółdzielnia zmuszona jest dobierać specjalistów, fachowców, kierowników z poza grona stowarzyszonych i płaci im wielkie sumy, by przy ich pomocy wytrzymać konkurencję. Wreszcie nie jest w stanie spółdzielnia prowadzić własnej polityki gospodarczej, nie może realizować własnych planów zaopatrzenia i rozbudowy, jest bowiem skrępowana ogólnymi prawami popytu, podaży i konkurencji jaka istnieje w ustroju kapitalistycznym.

Przykładem spółdzielni która szybko się zdemoralizowała w tym ustroju, może być t. zw. „spółdzielczość klas średnich", organizowana przez Niemca Schultze-Delitscha. Była to jakby kasa pożyczkowa, której zadaniem była pomoc rzemieślnikom i drobnym handlarzom w zakładaniu i prowadzeniu przedsiębiorstw. Udziały były duże, bo członkowie byli zamożniejsi, mogli więc sobie pozwolić na płatnych pracowników i urzędników, którzy prowadzili spółdzielnię (nie tak było u Roczdelczyków...). Ten typ spółdzielni nigdy nie wypowiadał walki ustrojowi, nigdy nie wyrażał żądania przemiany; z pomocą spółdzielni członkowie bogacili się, wchodzili do systemu kapitalistycznego jako właściciele prosperujących zakładów, i wreszcie spółdzielnia przekształcała się w bank prywatny. SPÓŁDZIELNIE SCHULTZE-DELITSCHA PRZEKSZTAŁCIŁY SIĘ WRESZCIE W CZYSTO KAPITALISTYCZNE SPÓŁKI AKCYJNE.

Przystosowanie się spółdzielni do kapitalizmu

Gdyby Robert Owen, szlachetny inicjator ruchu spółdzielczego, któremu tak drogie były hasła „miłości człowieka", „samoobrony słabych", „świata na sprawiedliwych zasadach" — zwiedził współczesne wielkie spółdzielnie, doznałby pewnie uczucia przygnębienia i goryczy. Oto np. hurtownia angielskich spółdzielni spożywców — jedno z największych przedsiębiorstw świata. Jest to olbrzymi trust, posiadający filie we wszystkich koloniach, linie okrętowe własne, sto własnych fabryk, produkujących towary ze wszelkiej możliwej rozmaitości. Obroty wynosiły w 1933 roku 2 miliardy złotych, t. j. równo tyle, ile liczył caloroczny budżet państwa polskiego!! Zarząd tego trustu, składający się ze specjalistów obcych ruchowi, urzęduje w luksusowym gmachu, gdzie przewijają się setki urzędników, pośród stuku setek maszyn do pisania i liczenia. Tak spółdzielnia, „zrzeszenie ludzi, nie kapitałów', instytucja z gruntu antykapitalistyczna, spółdzielnia, która miała dokonać rewolucji zapomocą „koszyka do zakupów", przez zorganizowanie siły kupnej najszerszych warstw spożywców, stała się spółką akcyjną czy koncernem, rozwijającym się korzystnie na tle gospodarki kapitalistycznej.

Spółdzielnia przeciwko rewolucji

W roku 1933 istniało na kuli ziemskiej 731.256 spółdzielni, liczących ogółem 166 milionów członków. Spółdzielnie spożywców liczyły 94 miliony i miały 98 miliardów złotych obrotu. W Polsce spółdzielnie miały 2.770.660 członków, zaś „Społem", hurtownia obsługująca spółdzielnie spożywców, była największym handlowym przedsiębiorstwem w kraju.

Te olbrzymie cyfry dowodziłyby, że spółdzielnia opanowała świat, tak jak spodziewali się tego jej założyciele. A więc może już dokonała się owa „pokojowa rewolucja", może niepostrzeżenie spółdzielczość zdołała rozsadzić kapitalizm, lub jest na końcu owej drogi ku przewrotowi? Bliższe zbadanie cyfr rozwiewa te złudzenia. **96 milionów członków spółdzielni to obywatele Związku Radzieckiego.** Na 94 milionów członków spółdzielni spożywców w Związku Radzieckim jest 76 milionów — więc na resztę świata przypada zaledwie 20 milionów. Wiadomo, że spółdzielnia spożywców jest najbardziej społecznie uczciwą formą kooperacji; widać z cyfr, że na Zachodzie przeważają nie te właśnie spółdzielnie, a kredytowe i wytwórcze, więc najbardziej dostosowane do kapitalizmu.

Rozumiemy teraz, co socjaliści nazywali „zdradą spółdzielczości"; zarzucając spółdzielni ugodowość, łagodzenie systemu kapitalistycznego, pójście z nim na kompromis. Po dziewięćdziesięciu latach istnienia spółdzielnia nie zdołała przekształcić ustroju światowego; zbogaciła tylko i utrwaliła

(Ciąg dalszy na str. 7-ej).

MARIAN MINIAS

NA WŁASNEJ ROLI

Maszyna pracowała. Zaprzężona w cztery konie pruła redlinę po redlinie, sypiąc piaskiem, rozwalając kartofle, kurząc. Tuman pyłu unosił się, kryjąc woźnicę, maszynę i konie. Za maszyną szło kilkoro ludzi zbierając kartofle w koszyki. Pół dnia zbierano i dopiero dwa wozy odeszły.

— Mało kartofli — mówił bauer, wołyński Niemiec.

— Mało? — zdziwili się Polacy.

— Nigdy tyle nie było, co w tym roku — rzekła jedna z kobiet.

— Polacy małe tu mieli urodzaje — dodała druga.

— Wszystko zależy od gospodarza.

— Ja tu gospodaruję po dobremu, po niemiecku, — chwalił się Wołyniak. Początkowo miano kopać ręcznie, lecz służący tej wioski Polak, namówił bauera do kopania maszyną.

— Wstyd kopać tak, jak kopali Polacy — mówił.— Tu nie dwadzieścia, ani trzydzieści mórg, lecz osiemdziesiąt pięć.

Niemcowi pochlebiły te słowa. Pożyczył kopaczki.

Polak radząc mu kopanie maszyną robił to celowo. Wiedział bowiem, że na tęgiej ziemi maszyna kopie dobrze, lecz na słabej, piaszczystej zasypie połowę co najmniej.

Ludzie zbierający kartofle podnosili tylko te, które były na wierzchu. Te, co były trochę przysypane, wdeptywano w ziemię.

Kiedy zmierzch zapadł, zaroiły się pola od dziesiątek mężczyzn, kobiet i dzieci. Kto żyw wychodził z chat i szedł kopać na rozplantowanej przez maszynę ziemi. Ludzie znużeni całodzienną ciężką pracą fabryczną zarzucali kapoty, brali worki i szli kopać kartofle. Jedni kopali motykami, inni łopatami, a jeszcze inni rękoma.

Jan Paluch nie kopał kartofli, lecz siedział na brzegu rowu pogrążony w zadumie. Siedział na własnym swoim polu, które niedawno mu odebrano. Gospodarkę jego połączono z dwiema sąsiedzkimi tworząc osiemdziesięcio morgowe gospodarstwo, jego zaś wysłano w krakowskie.

Jan Paluch przebywał zaledwie kilka dni w krakowskim.

Powrócił przez granicę do swoich. Zgodził sobie mieszkanie w mieście i tam trochę pracując, trochę handlując, oczekiwał końca wojny.

Dziś jak wielu innych, w nocy, jak złodziej, przyszedł kopać, kraść kartofle ze swojego pola. Ludzie dawno już kopali. Niejedni mieli już pełne worki, a on jeszcze ani razu nie ruszył motyką.

Wspominał swoje życie. Stanęły mu przed oczyma lata jego młodości, lata trudu, mozołu. Ile pracy włożył w tę szarą ziemię, żeby przygotować ją pod dobry plon. Ile potu wylał, aby zapewnić dobrobyt gospodarski, życie rodzinie i wykształcenie dzieciom. Oj, nie żałował on pracy, nie żałował młodzieńczej energii i sił. I cóż z tego? Dziś, gdy cieszył się dorosłymi dziećmi, gdy pragnął odpocząć po mozole, ciesząc się szczęściem dzieci i wnuków — wygnano go jak zbrodniarza.

— Czyż to ja jaki przestępca? — myślał.

Nie mógł tego pojąć, nie mógł zrozumieć, żeby on, niedawny pan i właściciel tej ziemi, przyszedł tu kraść. Zrobiło mu się strasznie nieswojo. Coś go łapało za gardło, dławiło, a z oczu wyciskały się jedna po drugiej łzy.

Dotychczas nie płakał nigdy, dziś w szarzyźnie nocy, na skraju swego pola dał upust łzom.

Z poza rowu, od drogi prowadzącej do miasta dały się słyszeć czyjeś kroki. Kilku ludzi szło w tę stronę.

Naraz błysnęły światełka i rozległy się krzyki:

— Stój! Halt! Halt!

Ludzie oderwali się w przestrachu od kopania. Łapano wykopane kartofle i zmykano. Żandarmi krzyczeli, biegli za ludźmi i strzelali.

Jan Paluch ocknął się dopiero, gdy usłyszał strzały.

— Żandarmi, — pomyślał.

Mimo to nie wstał. Nie uciekał jak inni.

Nagle świsnęło coś, zasyczało nad głową.

— Strzelają — uprzytomnił sobie.

— Wszyscy uciekli.

Powiew strachu musnął chłodem serce.

— Trza iść!...

Podniósł się.

Nagle błysnęło przed nim światło.

— Jan stanął.

— Złodziej!... Ręce do góry!

Strach prysnął nagle.

— Jestem u siebie — pomyślał.

— Ja nie złodziej — odpowiedział z mocą.

— Kradłeś!

— Jo?... Kradłem? — zdziwił się rzetelnie.

— Marsz, złodzieju! Damy ci kartofle! — ryknął jeden z żandarmów uderzając go kolbą.

— Jo nie pójdę!

— Marsz!

— Jo nie pójdę! To moja ziemia! Wyśta złodzieje!

— Marsz, bo strzelę!

— Myślita, ze sie was boje?

Uderzenia kolb przerwały mu mowę.

— Nie, nie, nie pójde!... To moja ziemia, to moja ojcowizna!

— Naprzód!

— Wyśta złodzieje!... bandyty!...

— Jeszcze słowo — strzelę!...

— Strzelaj, zbrodniarzu!...

— Daj w łeb tej świni — radził drugi żandarm.

— Jestem na swojej ziemi!

Żandarmi przestali go bić. Błysk strzału przeszył mrok.

— Jezu! — wyszeptał Jan i runął w pulchny piach kartofliska.

— Moja... zie... mia... — wyszeplenił:

Drugi strzał uciszył go.

Przywarł twarzą do ziemi, ręce rozkrzyżował, a usta matrwiejące szeptały:

— Mojaś ty... mojaś ty... moja...

TRZY SPÓŁDZIELNIE

(Dokończenie ze str. 6-ej).

byt tysięcy jednostek, niewątpliwie wspomogła robotnika i chłopa, stała się wreszcie ośrodkiem nowej moralności społecznej. Była „klapą bezpieczeństwa kapitalizmu", przez którą uchodziły prące od wewnątrz siły, grożące rozsadzeniem kotła, i w tym sensie ratowała kapitalizm; ale też ratowała rzesze pracujące w ich codziennym bycie, i dlatego atak krańcowych socjalistów nie jest całkowicie słuszny.

Zobaczmy teraz co się stało w Związku Radzieckim.

Trzecia spółdzielnia

W Związku Radzieckim w wyniku rewolucji 1917 roku postanowiono zniweczyć ustrój kapitalistyczny i zastąpić go komunistycznym. Wszystkie fabryki i ziemia miały się stać własnością państwa, w ten sposób dochód z nich miał bogacić naród nie poszczególnego kapitalistę.

W praktyce był to olbrzymi zabieg, bezprzykładny w historii i niełatwy do przeprowadzenia. Najtrudniejsze było przejęcie ośrodków produkcyjnych przez państwo tak, by wytwórczość nie doznała uszczerbku. Proces ten rozłożono na szereg lat — i **dokonano go za pośrednictwem spółdzielni.** Tutaj spółdzielnia wystąpiła w nowej zupełnie roli, realizując w ramach tak zwanego NEP-u (Nowej Ekonomicznej Polityki) — specjalne zadania gospodarcze, zaprojektowane przez państwo i wykonane na przestrzeni całego kraju.

Spółdzielnie mianowicie przejęły wszelkie ośrodki produkcji pozostałe po przemysłowcach i właścicielach folwarków; w miejsce tych posiadaczy weszły masy ludowe, jako członkowie spółdzielni, działający przez wybrany zarząd. W tych warunkach spółdzielnia spełniła niezwykłą rolę, jako wykonawczyni ostatecznej przemiany ustrojowej. Wykonanie tego zadania podniosło spółdzielnię do świetności, jako organizację ludowo-gospodarczą, świetności której nie utraciła do dziś, jak świadczą wyżej podane cyfry o rozmiarach ruchu spółdzielczego w Rosji. Ale zarazem straciła spółdzielnia samodzielność, wprzągnięta w komunistyczny plan państwowy.

Związek Samop. chłopów polskich

Te rozmyślania nasze nad rozmaitymi typami spółdzielni do jednego zmierzają celu: odpowiedzi na pytanie czem ma być spółdzielczość w nowej polskiej wsi? Do jakich tradycji ma nawiązać nasz Związek Samopomocy? Czem być powinien, czem być musi: **PIERWSZĄ, DRUGĄ CZY TRZECIĄ SPÓŁDZIELNIĄ?**

I widzimy, że odpowiedź: 1, 2 lub 3, jest niemożliwa. Sytuacja nasza jest zupełnie wyjątkowa. Wytwarza się oto **nowy typ spółdzielczości**, nie pasujący do żadnej z tych trzech grup i nie mający odpowiednika w Europie. Możemy co najwyżej w przybliżeniu ustalić podobieństwa i różnice, i w ten sposób ocenić nasz Związek.

Powstał on bowiem w sytuacji specyficznej: jako skutek Reformy Rolnej, t. j. przemiany gospodarczej która w innych krajach dokonała się zwolna i na przestrzeni lat, i przeważnie została wchłonięta przez system kapitalistyczny. U nas w ciągu paru miesięcy powstała klasa nowych posiadaczy: Związek jest organizacją tej świeżej, spontanicznej, całkowitej grupy. Nie jest więc Związek pojedyńczą jakąś komórką spółdzielczą na wydzielonym terenie, a jest organizacją **naczelną, masową, ogólną.** Nie powstaje więc jako kramarski zakład spółdzielczy, zmuszony do konkurowania z handlem kapitalistycznym, a jako główna spółdzielnia całej klasy. W tym zbliża się Związek do **TRZECIEJ** Spółdzielni. Ale różni się zasadniczo od spółdzielni NEP-u przez to, że w Rosji dokonano **przebudowy gospodarki państwowej,** więc spółdzielnie rolników były jedną tylko pozycją obok spółdzielni robotników, obok spółdzielni przemysłowych i handlowych, które miały za zadanie **przestawić gospodarkę na państwową.** U nas taki przewrót dokonać się nie może i nie potrzebuje; państwo nasze nie jest tak olbrzymim organizmem gospodarczym jak Związek Radziecki i zachowuje ono formy liberalnej gospodarki przemysłowej i handlowej. Pozatem nie jest Związek organizacją wyłączną, jedyną, obejmującą wszelkie spółdzielnie naszego kraju. Obok niego istnieją najrozmaitsze typy spółdzielczości spożywczej i kredytowej, miejskiej, handlowej i rzemieślniczej.

Tak więc Związek powstaje coprawda jako spółdzielnia całkowita, ogólnoklasowa; ale na terenie gospodarki niespółdzielcznej, nawet kapitalistycznej. Miejsce jego jest pośrednie między **DRUGĄ A TRZECIĄ SPÓŁDZIELNIĄ.**

To daje naszemu Związkowi wspaniałą szansę: rozbudowania **nowej ludowej formy gospodarczej.** Jest on dosyć potężny przez swoją klasową ogólność — że obejmuje wszystkich chłopów — a nie jest znów skrępowany, jakby był w państwie socjalistycznem, koniecznością komunistycznego planu państwowego. **To stawia nasz Związek w wyjątkowo szczęśliwej sytuacji,** pozwalając nam wykorzystać zalety **drugiej i trzeciej Spółdzielni,** bez ich wad i skrępowań.

Nie okaże nasz Związek już tak haniebnej giętkości, jaką miała spółdzielnia rolnicza, dająca się np. z łatwością wykorzystać Niemcom do zbierania kontyngentów. Nie będzie uginał się pod ciężarem konkurencji z kapitałem obcym. Będzie dość potężny by prowadzić własną politykę chłopskich interesów; dość wyłączny, by dyktować innym organizacjom swoje warunki. A zarazem pozostanie niepodległą **Spółdzielnią,** o jakiej marzyli pierwsi nasi działacze: białym domkiem od którego rozchodzi się wszystko co dobre na wieś.

Dlatego niech nam wolno będzie i zachować coś z owej **PIERWSZEJ SPÓŁDZIELNI: DUCHA MIŁOŚCI MIĘDZY SWOIMI, DUCHA „WZAJEMNEJ POMOCY" KTÓRA RATUJE ŚWIAT.**

JÓZEF BOJAR

POŻEGNANIE STYRU

1

Żegnam cię Styrze — zacznę od rzeki
gdy iść już muszę w ten świat daleki.

Żegnam się Styrze — rzeko modrawa
w łąkach błyszcząca, szumiąca w trawach.

I bystrym nurtem do Prypeci rwąca
mijasz mnie wartko w promieniach słońca.

W nadbrzeżnych łąkach wstęgo rzucona
i tak kochana jak matka rodzona.

Bo nad twym brzegiem w dziecinne lata
marzyłem, żeby zwiedzić kawał świata.

2

Och Styrze, Styrze — królu Wołynia
twa barwna szata ciągle się zmienia.

W dnie ciche jasne w słońcu pogodzie
syreny i rusałki tańczą po wodzie.

W dżdżyste i chmurne — znów świtezianki
wichrzą twe grzywy — tworząc z nich wianki.

A które łowią — chłopcy i dziewczęta
strojąc w nich głowy na wielkie święta.

3

A święta były — wielkie i sławne
schowane w przeszłość i wieki dawne.

O których tylko krążą legendy
o naszych przodkach robiących błędy.

Z dobroci serca te błędy były
dziś na ich szlakach rosną mogiły.

Gdy na nich patrzę — rosną wspomnienia
a karta dziejów ciągle się zmienia.

Tylko ty Styrze płyniesz jednako
i patrzysz ludziom w oczy głęboko.

4

Wieleś już widział, wiele rozumiesz
lecz nic nie mówisz a tylko szumisz.

Szumisz falami co ciągle płyną
i twoja mądrość skryta głębiną.

W nurcie głębokim, tajemnic wiele
schowane dobrze w tumie — kościele.

Nikt ich nie wydrze i nie zrozumie
bo twojej mowy obcy nie umie.

Tylko Tajemnic nie masz przede mną
dla mnie otwierasz głębię tajemną.

1942 r.

TADEUSZ PAPIER

GMINA KAMIEŃ

monografia srodowiska wiejskiego

Praca, którą drukujemy jest próbą monografii wsi. Jest to wyczerpujący opis, przechodzący kolejno wszystkie główne punkty: położenie geograficzne, warunki gleby, ilość i charakter mieszkańców, wreszcie grupy społeczne wiejskie, ich zachowanie się i poglądy, ich pracę, ich kulturę — aż do poglądów politycznych.

Podobne prace ogłaszane były przed wojną przez socjologów, uczonych, którzy zajmowali się opisem życia społecznego. Od r. 1908 wychodziły w Warszawie monografje, ogłaszane przez Wydział Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Wiejskich w Bibljotece Puławskiej. Fr. Bujak, uczony - specjalista od spraw wsi, opublikował dwie monografje: „Maszkiewice" (Kraków 1914) i „Żmiąc" (Kraków 1903). Istnieje też monografia B. Stolarskiego: „Sługocice" wydana w 1925 r., i inne.

Jaki jest cel takiej „monografji wsi"? Podaje ona same suche fakty, nie próbuje ich literacko zabarwiać. Zajmuje się jakąś pojedyńczą, niewielką gminą, wcale nie bardziej ciekawą niż jakakolwiek inna. Na czem więc polega interes takiego opisu?

Daje on beznamiętny, objektywny, naukowy obraz przeciętnej wsi polskiej. Z dziesiątka takich monografji możemy przekonać się o warunkach bytu, o kulturze, o prądach społecznych najszerszej masy chłopskiej. Dlatego próba taka nietylko nawiązuje do rozpoczętej przed wojną pracy naukowej, ale także łączy ją z przyszłością naszej wsi, ukazuje nowe stosunki, nowe przekształącenia, jakie zwolna i nieuchronnie dokonują się w społeczeństwie chłopskiem.

ZIEMIA I LUDZIE

Gmina Kamień — jedenaście wsi, domy przeważnie drewniane, kryte słomą. Drogi polne na wiosnę i jesień toną w błocie, ani jednej szosy. Północno-wschodnia krawędź gminy pokryta lasami mieszanymi, będącymi własnością chłopską. Gleba piaszczysta i glinkowata, średnio urodzajna, przeważnie żytnio-kartoflana. Brak jakiegokolwiek przemysłu. Po wsiach rozrzuceni pojedyńczo stolarze, cieśle, krawcy, szewcy, przeważnie bez patentu na wykonywanie swoich rzemiosł: syn po ojcu obejmuje fach i prowadzi go dalej.

Gmina opiera swoją gospodarkę na rolnictwie. Około 50% średniorolnych, kilkanaście gospodarstw powyżej 10 ha, reszta to małorolni, z trudem mogący nędznie wyżyć. Przed wojną klasa ta nie była dopuszczana do czynnego udziału w życiu publicznym. Nie rekrutował się spośród niej ani jeden sołtys, ani też wójt. Do Rad Gromadzkich, do Rady Gminnej, do Komisyj Rewizyjnych, Zarządów Kas Pożyczkowo - Oszczędnościowych nie był nikt z małorolnych ani powoływany, ani wybierany.

Z klasy tej wyjeżdżała rokrocznie pewna ilość ludzi (od 10 do 20 z gminy) na roboty do Niemiec, Francji, Łotwy, lub Ameryki. Od tych emigrantów nadchodziły listy, czasami gazety. I te wieści z dalekiego świata, zastępując oświatę wzorową i wychowanie obywatelskie, w zastępczy sposób dostarczały wiedzy i budziły ferment polityczno - społeczny, czego wyrazem była prenumerata w tej klasie pism ludowych, krajowych, takich, jak „Zielony Sztandar", „Wici", „Robotnik" (po kilka egzemplarzy na gminę), oraz występowanie propagandowe działaczy miejscowych z krytyką wyzysku plebanii, fałszowania wyborów gminnych i do sejmu, podejmowaną na tle opozycji wobec pańsko - legjononowych rządów.

Klasa średniorolnych stała materialnie lepiej. Spośród niej wybierano wójtów, sołtysów, członków gromadzkich i gminnych komisji. Ta klasa nadawała ton życiu gromadzkiemu i gminnemu. Nie była ona gospodarczo ani politycznie jednolita. Duży procent średniorolnych pod względem stopy życiowej upodabniał się do klasy małorolnych lub nawet bezrolnych. Warunki gospodarcze przedwojennej wsi polskiej tak się układały, że tylko jednostki bardzo przedsiębiorcze, lub posiadający dobrą ziemię, mogły utrzymać względnie znośny poziom życia. Politycznie należeli średniorolni przeważnie do Stronnictwa Ludowego, jakkolwiek występowały także sympatie prorządowe, sanacyjne.

STARYM SZLAKIEM

Na roli pracowano w ostatnim dziesięcioleciu tak, jak za ojców i dziadów. Mało się zmieniło. Żelazny pług zamiast drewnianej sochy, płużki do radlenia ziemniaków, żelazne kultywatory, ulepszone brony — to chłopskie narzędzia pracy w polu. W stodole, obitej deskami, lub plecionej wikliną, zwykła dwukosowa sieczkarnia. Na 11 wsi może sześć nowoczesnych sieczkarń na kierat, może 20 maszyn kieratowych do młócenia. Co piąty, szósty dom posiada młynek do czyszczenia zboża. Niemal w każdej chałupie żarna, ten niezawodny młyn w czasie suszy, ciszy i wojny. I cóż więcej? Cepy i chłopskie pięści.

W dwóch wioskach gospodarstwa zostały skomasowane i przeprowadzona melioracja. Rzadko i to, najbogatsi, stosują nawozy sztuczne.

DZIADY PRACUJĄCE I DZIADY PROSZĄCE

Nędznie ubrany, źle odżywiany, pracuje chłop-wyrobnik od świtu do nocy na polu sąsiada bogatego chłopa. Jest w tej pracy coś z dawnej pańszczyzny. To nie jest pomoc sąsiedzka, ani wymiana wzajemna pracy za pieniądze. Wytwarza się takie pojęcie, jokoby ów wyrobnik musiał pracować na polu „bogacza". Tkwi tu prawie zawsze ze strony pracodawcy pewnego rodzaju duma, że z niego ktoś żyje. „Dziady" i „próżnioki" są ci dziwni ludzie o dziurawym ubraniu i zapadłych oczach. Nic dziwnego, że 1 morgowa wyrobnica, młodsza o sześć lat od swej bogatszej sąsiadki, całuje ją w rękę.

O wiele lepiej powodziło się dziadom proszącym. Zdrowe chłopy, lub czerwone jak jabłka babki chodzą od drzwi do drzwi i odmawiają zdrowaśki za zmarłe dusze. Litościwe serca wtykają im chleb i pieniądze.

KSIĄŻKA

Bibliotek na terenie gminy nie było. Nie można liczyć paru tomów rolniczych, które leżały w gminie, nie można również brać pod uwagę skromnej biblioteki szkolnej. A czytać chcieli wszyscy. Nie było nic innego, więc czytano Mniszkównę i lano łzy nad tragedią nauczycielki, której nie poślubił hrabia, czytano „Żywot św. Genowefy", „Pierścień w koszyku" i inne ciekawe historie kupione na odpuście, jarmarku, lub u wędrownego sprzedawcy. Bo byli i tacy sprzedawcy.

A daleko, gdzieś w Warszawie, drukowano pono i mądre książki.

INTELIGENCJA NA WSI

W przedwojennej pracy społecznej na wsi można rozróżniać dwa kierunki.

Pierwszy kierunek, „urzędowo - opiekuńczy", objawia się w działalności społecznej inteligencji wsi — nauczycieli, urzędników gminnych i księży.

Kierunek drugi, to praca społeczna działaczy wiejskiego pochodzenia.

„Ludzie z nauką" wyraźnie odróżniają się od tła wsi. Są oni dekoracją wsi, ludźmi z zewnątrz: z konieczności materialnej lub rozkazu żyją na wsi. W mieście przeciętny inteligent ginie w masie innych, rozpływa się w bogatym w odmiany środowiskowe i zawodowe społeczeństwie miejskim. Na wsi ten sam inteligent — jako ksiądz, jako nauczyciel, jako sekretarz gminny stoi ponad społecznością wiejską, jest czynnikiem decydującym, autorytatywnym.

Inteligent wiejski występuje prawie zawsze w roli patrona, który poucza kogoś niższego od siebie i w roli sędziego, który rozstrzyga. Każda opieka kryje w sobie akcenty poniżenia. Chłop na wsi słucha stale nauk. W kościele kazań świętych, w gminie kazań urzędowych, na kółku rolniczym — kazań naukowych. Chłop protestuje przeciwko „pouczaniu", ponieważ czuje w tym swoją słabość i widzi swoje poniżenie.

Inteligent wiejski jest poza tym kimś nasłanym z góry do pilnowania porządku. Działalność tego rodzaju sprzeciwia się naturalnym dążeniom chłopskim do uzyskania samodzielności, przeto chłop protestuje.

SZKOŁA I NAUCZYCIEL

Wykształcenie, które chłop pobiera w szkole powszechnej, jest dla niego karmą na całe życie. Stąd wypływałoby inne, ogólniejsze zadanie dla szkoły na wsi, a nie tylko ogólno-kształcące. Wobec braku dostępu do szkół średnich — szkoła powszechna winna stać się na wsi bazą wychowawczą nie tylko dla najmłodszego pokolenia ale i dla starszych. Stąd ogromna rola nauczyciela wiejskiego — jako społecznika.

Na 11 gromad gmina Kamień posiada 4 szkoły powszechne, w tym jedna tylko szkoła siedmiooddziałowa. Z pośród 10 nauczycieli (średnio przebywających w gminie), jedna tylko nauczycielka H. S. wykazała się piękną postawą społeczną. Nie należała do żadnych organizacyj politycznych, poprostu uczyła z wielkim zapałem, umiała podejść do swoich dzieci, rozbudzić w nich poczucie społecznej więzi przez wspólną lekturę książek, przedstawienia, chóry. Pracę szkolną przedłużała poza godziny służbowe, ucząc biedne dzieci, które z rozmaitych przyczyn nie mogły normalnie chodzić do szkoły. Podczas wojny zajmowała się tajnym nauczaniem, odważna, chętna do posług i porad. Otaczała opieką młodzież, która ukończyła szkołę powszechną. Pracowała w miejscowym Kole młodzieży wiejskiej. Po zajęciach służbowych chętnie pomagała pierwszemu lepszemu chłopu w pracy na polu; prowadząc z ludźmi dyskusje celowo wprowadzała element niepokoju w świat myślowy chłopa. Odeszła na inne stanowisko po wojnie. Pozostawiła dobrą sławę nauczyciela-społecznika. Pozostawiła pamięć czegoś niedopowiedzianego. Jest to zresztą cechą wszystkich samotnych wysiłków, że praca ich jest niepełna.

Inni nauczyciele nie wychodzili poza ramy swoich szkolnych obowiązków. A i te wypełniali często niedbale. Udział nauczycieli w pracy społecznej ograniczał się tylko do pracy w organizacjach aprobowanych przez rząd. Koła LOPP., kółka rolnicze, straż pożarna. „Strzelca" w gminie nie było. Zasiadali nauczyciele w gminnych radach. Brali udział w przeprowadzaniu wyborów do sejmu lub rad gminnych. Na wszystkich akademiach wiejskich nauczyciel był stale mówcą i często (nawet wbrew swoim przekonaniom) musiał występować w roli trybuna panującego ustroju.

W organizacjach ludowych przed wojną, na terenie gminy, nauczyciele udziału nie brali. Podczas wojny trzymali się zdala od pracy niepodległościowej, ograniczając się do pracy zawodowej i zarobkowej (handlu i t. p.).

MŁODZI „CHŁOPI UCZENI"

Dzieci chłopów bezrolnych i małorolnych mogły zaledwie zaczerpnąć trochę nauki elementarnej w szkołach powszechnych. Do gimnazjum nie wyszedł z tej klasy nikt. Natomiast klasa średniaków wydała z siebie stosunkowo dużo uczącej się młodzieży. Z gminy „wyszło" 3 oficerów, 5 księży, 3 studiowało na wyższych uczelniach, 6 osób było z maturą gimnazjalną lub licealną.

Któż więc uczył dzieci? Średniacy i najbogatsi. Uczył właściciel 30 morgowego gospodarstwa, ale uczył dlatego, że na 6 lat naprzód wydzierżawił swój 6 morgowy ogród.

Podejście jednak do tej sprawy było fałszywe. Uczono nie poto, aby dostarczyć gromadzie nowego pracownika, lecz po to, aby właśnie z tą gromadą zerwać. Chłopi, którzy pod wpływem namowy, przykładu, czy własnej decyzji oddawali swe dzieci do szkół średnich, oddawali je zawsze w zamiarze, aby dziecko ich już nigdy nie męczyło się przy widłach i gnoju. Uczono na „pana", na „urzędnika". Nauka miała dawać niezależność, pieniądze, dobrobyt. Nauka miała dawać władzę i poważanie.

Szkoła, oparta na kulturze szlachecko - mieszczańskiej, służyła interesom warstw wrogo lub obojętnie ustosunkowanych do wsi, powodowała coraz większy rozdział między młodzieżą wiejską a wsią. Chłopak wiejski, któremu przez osiem lat wpajano kult dla systemu rządowego, któremu opowiadano o wyprawach na Kijów, o przedmurzu chrześcijaństwa, o „mocarstwowości", wzrastał w lojalność państwową bez zastrzeżeń, przedłużał w sobie typową potulność chłopską, był posłuszny i karny bezkrytycznie. Na sprawy wsi patrzył w najlepszym razie przez okulary ckliwego sentymentalizmu, pracę społeczną pojmował jak doktór Judym w „Ludziach Bezdomnych", apostolskie jakieś poświęcenie, nie rozumiejąc i nie wyczuwając przemian zachodzących w życiu wsi.

Wieś staje się daleka, obca, nieznana. Wieś staje się wroga i nie zalicza chłopskiego inteligenta w poczet swoich członków. Dla wsi „chłop z miasta" nie był już członkiem gromady.

Po maturze — chłopski syn — nie wraca do domu. Nie może być ciężarem ojcu, który teraz czeka za swe trudy odpłaty, honorów. Nie może stać się pośmiewiskiem gromady, jako zdeklasowany i nieudały inteligent. Kroczy więc po raz obranej drodze. Musi zdobyć władzę, szuka posad. Wszelkimi szparami wciska się wyżej, a te szpary to seminarium duchowne i wojsko.

PRACOWNICY GMINNI

Pracownikami gminnymi byli przeważnie inteligenci pochodzenia chłopskiego. Ale i ci odróżniali się od reszty gminy. Praca w gminie była dla tych inteligentów karierą życiową. Musieli oni dbać o to, aby nie utracić tak ważnej pozycji. Kontaktowali się z księdzem, nauczycielem, bogatszymi chłopami. Tworzyli razem z nimi osobny klan, elitę gminną. Administracyjnie i dyscyplinarnie gmina zależna była od starosty. Musiała wykonywać wszystkie zarządzenia władz, chociażby stały w sprzeczności z interesem chłopa. Gmina „przeprowadza" wybory. W gminie giną lewe gazety i nie dochodzą do rąk adresata. W gminie chłop musi być pokorny, słuchać, a nie gadać. Stąd wytwarza się rozdźwięk między gminą, jako organem samorządowym chłopskim, a chłopami, tworzącymi ten samorząd. Stąd samorząd staje się fikcją.

KLER

Kler (gmina posiada kościół parafialny) brał udział w życiu społecznym. Ksiądz bywał prawie stale w gminnej radzie, należał do różnych komisji. Ksiądz cieszy się dużym autorytetem na wsi, nie zawsze jednak umie zniwelować ten dystans, jaki go dzieli od klas bezrolnych i wyrobników.

Obok szacunku i poważania spotyka się ksiądz na wsi także z ostrą krytyką, podejmowaną na tle wysokich opłat kościelnych, oraz ostrego, a nieraz nawet brutalnego traktowania chłopów. Chłopi protestują także przeciwko mieszaniu się księdza w sprawy polityczno-społeczne.

Występują przeciwko księdzu ci, którzy przeżywają najrozmaitszego rodzaju wątpliwości religijne. Pod tym względem tak u klasy małorolnych jak i średniaków jest pewien procent takich, którzy wypowiadają posłuszeństwo autorytetowi księdza i nie przyjmują wizyt religijnych księdza w swoim domu. Doroczna statystyka parafialna podaje, że do spowiedzi wielkanocnej przychodzi około 85% parafian. Reszta to albo wierzący i niepraktykujący lub niewierzący.

(Druga część monografii „Gmina Kamień" będzie zamieszczona w jednym z następnych numerów „Wsi").

ANNA KAMIEŃSKA

KAWAŁEK CHLEBA

Zdawało nam się, że piekarnia we wsi to będzie dobry wynalazek. Przekonaliśmy wreszcie o tym gospodynie, choć sierdziły się i słuchać nie chciały. Nie żałowaliśmy rąk, żeby to wreszcie poszło. No, chwała Bogu, skończą się babskie ceremonie i ważności. Przecież to ruszyć się nie można było w dzień pieczenia chleba. Chodzisz po izbie — to źle, wyganiają cię na dwór, przeszkadzasz ciastu rosnąć. Wychodzisz, obrządek zrobiony, poczytałoby się gazetkę. Idziesz — nie wolno — kładą do pieca — zaziębi się. Postoisz w sieni, przestępując z nogi na nogę, bo cierpliwość stać nie lubi, a tu nagle — trzask drzwi i mokra kociuba głaszcze cię po głowie. A bo nie stój w sieni kiedy chleb idzie do pieca. — Niechże idzie, ja także idę, bo w tym domu kąta znaleźć nie można. I dopiero narzekania, poczęstunki. Nie dotykaj psa, kiedy je z pełnej miski — nie przystępuj do gospodyni, kiedy chleb piecze.

Cieszyliśmy się więc, że wreszcie będzie na wsi spółdzielcza piekarnia i kobiety złagodnieją i ze wszystkim wyjdzie mniej roboty i mąki i drzewa. Okazało się, że na spokój we wsi nie ma nic gorszego od spółdzielczej piekarni. Zaczęło się tak, że piekarnia stanęła. Samiśmy budowali, sumiśmy zdobyli mechaniczne urządzenia — to była robota męska — dobrze. Już Wojciech Lipiec kładzie ostatnią dachówkę, Komar ostatni raz macza pędzel w wapnie, Franek gwiżdżąc przybija ostatni gwóźdź. Parę dziewczyn kręci się, zagląda przez szyby, zerka na robotę. Złość nas wzięła — gapią się jakby się bały, że tylko patrzyć, a wszystko to runie. Cóż to nam — pierwszyzna?

Aż tu nagle gwar i łopot. Biegnie cała wieś babska — wszystko uroczyste, ważne. Prowadzi Lipcowa, wielkim fartuchem szeleści. Maryśka jej podskakuje przy spódnicy — a dalej zwartym tłumem biegną wszystkie — jak na cyrk. Moja w czerwonej chustce. Nieprzyjemnie mi się zrobiło. Nawet stara sucha Maciejowa dyrda z tyłu, a za nią kot i siwa kura, a dzieci piszczą, pokrzykują i skaczą. Wojciech splunął delikatnie, Komar miesza wapno, miesza, miesza, jakby chciał dziurę w kuble wymieszać, Franek czupryną potrząsa, kamizelkę wypina, oczy robi, ja, — no ja — czekam.

Aż o parę kroków stanęło to wszystko, uformowało się niby na paradę, na Lipcową patrzy. Lipcowa usta otwiera, Wojciech jak stał na dachu — głowę niby bocian przekrzywia, nogę podnosi i buch — za gzyms się złapił i tak wisi, na żonę patrzy.

— Uchwaliliśmy — mówi Lipcowa — złożyć wam, chłopcy, podziękowanie, żeście robotę swoją wykonali, a dalej, że to babska rzecz, my obejmujemy piekarnię, my piekarnią rządzimy. Byleście mieli kawałek chleba codziennie — o wszystko możecie być spokojni.

Ale jak można być spokojnym, wisząc jedną ręką na gzymsie. Wojciech z ręki na rękę przeskakuje, kołysze się jak gruszka. My słuchamy z podziwienia zapomnieliśmy o Wojciechu.

— Kawałek chleba, wola boża, — drapie się Komar za uchem.

— Tatulu, skaczcie! wrzeszczy Józek Lipców.

— A to może bułeczek wam się zachciewa?

— Nie bójcie się, od potrzeby i pączki się upieką.

— Ale najpierw trzeba sprawdzić, czy wszystko dobrze ustawili.

— Tatulu, skaczcie!

Ale skakać nie ma gdzie, bo kobiety pchają się do drzwi, cały plac zajęły, chłopów odepchnęły na koniec.

Wreszcie wszystko to wpakowało się do piekarni. Patrzymy, a Wojciech siedzi po turecku na ziemi, kolana ogląda i trzyma się za bok. A tu ci w okienku Franek z Maryśką biją się o całusa.

— Nie miał chłop kłopotu, postawił piekarnię. Wola boża — mówi mi Komar na ucho.

Lecz to dopiero początek. Teraz zaczęły się sejmy, pogaduszki, obrady: z zakwaską, czy bez zakwaski, w piątek czy w sobotę, gęsty czy rzadki, czy tak jak piekła babka starej Maciejowej, której chleb kosztował jakiś generał i nasmakować się nie mógł, czy tak jak Maryśkę uczyli na kursach gospodarstwa wiejskiego.

Ale kiedy przyszło co do czego — ścieżka do piekarni była zatarasowana, jakby droga do kościoła na sumę. My z Komarem stanęliśmy na górze, żeby wypalić po fajeczce. A dzieciaki jak porucznicy na polu bitwy biegają nosząc wiadomości: że jeszcze nie, że już, że za rzadki, że piec ma za wysokie podniebienie, że wreszcie będzie zakalec, że się uda, że się nie uda, bo Maciejowa przeżegnała po swojemu, że będzie kwaśny, że opadnie — kawał chleba — wola boża, — mówi Komar, a ja słyszę, że koło piekarni coraz weselej.

Ale nie można było widzieć co się tam działo, bo tu chłopaki się pobiły, krzyczą, Józek usmarował się sadzą i straszy dzieci, Franek spaceruje i dziewczęta zaczepia — o chleb taki niespokojny.

Chleb wyszedł niczego, ale teraz kobiety uchwaliły dyżury w piekarni, strasznie dumne, sadzą się czyj wypiek będzie lepszy. A inne tymczasem opowiadają, że zmieniły się czasy, już one nie będą całego życia marnowały na harówkę w domu. One nam wieś urządzą, teraz będzie czas i książki czytać i gazety i mieszkanie ozdobić. Najważniejszą jest organizacja — żeby każdy miał swój kawałek chleba — to życie jest jeszcze dość szerokie. Gadania jest dużo.

Komar mówi: Wola boża. A mnie, co ledwo przekonałem nasze kobiety do tej piekarni — teraz one przekonują, jak mogą, że piekarnie spółdzielcze to dobry wynalazek.

Dr. J. BIERZANEK

WYJDŹMY POZA GRANICE GROMADY

Wieś po reformie rolnej musi stworzyć silny i sprawnie działający samorząd gospodarczy. Praktycznie — będą to spółdzielnie handlowe i wytwórcze w zakresie produkcji pomocniczo-rolnej (młyny, gorzelnie, olejarnie), oraz spółdzielnie rybne, obejmujące rejon gospodarczy, a zatem teren kilku, kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu wsi, praktycznie — teren części czy całej gminy, części czy całego powiatu. Względy gospodarcze wymagają stworzenia i działania większych jednostek gospodarczych. Drobne wiejskie spółdzielnie spożywców, po ustaleniu się stosunków gospodarczych, nie będą mogły wytrzymać konkurencji z większymi spółdzielniami. Drobne spółdzielnie zdały doskonale egzamin w czasie wojny, nie wytrzymują jednak próby życia w warunkach normalnych, a zwłaszcza w ramach planowej gospodarki, wobec postępującej wciąż racjonalizacji procesów życia gospodarczego. Podstawowe artykuły przemysłowe sprowadzać trzeba będzie na wieś wagonami; drobna placówka musi je sprzedawać drożej, bo nie może zamawiać ładunków wagonowych i zmuszona jest korzystać z jednego pośrednika więcej.

W zakresie produkcji dojść trzeba do podobnych wniosków: prowadzenie młyna gospodarczego, administracja resztówek, elektryfikacja, budownictwo — to wszystko są zadania przerastające siły i możliwości jednej gromady. Zadaniom tym sprostać będą mogły większe społeczności: gminy, kilka gmin, czy nawet dopiero powiat. Procesy życia gospodarczego prowadzić będą nieuchronnie do tworzenia większych jednostek gospodarczych, do powstawania spółdzielni gminnych i rejonowych, do łączenia się drobnych placówek w większe organizmy.

Gromada

Zgoła odmienne wnioski nasuną się, gdy spojrzymy na to samo zagadnienie z punktu widzenia *społecznego*. Naturalną spólnotą jest wieś. Łączy chłopów w gromadę wiejską przede wszystkim fakt zamieszkania na małym obszarze, — następnie tradycja wspólnych przejść i losów w przeszłości, nieraz tradycja wspólnie prowadzonej walki z dworem, a ostatnio wspólnie ponoszone podczas okupacji ciężary i świadczenia rzeczowe, wreszcie wspólnie dokonane prace w zakresie budowy drogi, domu ludowego czy też wzajemna pomoc gromady na rzecz jej członków, dotkniętych klęskami żywiołowymi. Solidarność gromad na szerokich połaciach kraju nie jest tylko postulatem i programem, ale jest rzeczywistością społeczną. Typ wsi zżytej i zdolnej do zbiorowego działania, wsi — jak mówią na kresach „drużnej“, nie jest w chwili obecnej rzadkością. Hasłem takiej wsi to „albo wszyscy, albo nikt“. Nie znaczy to bynajmniej, by stosunki w łonie gromady były niczym niezamącone, by układały się idealnie, by wobec nowych projektów zawsze zapadała jednomyślna zgoda, by harmonia była zupełnie pozbawiona dysonansów. Ale znaczy to, że wszystkie te opory wewnętrzne są pokonywane i przezwyciężane, gdy idzie o sprawę ogólną, i interesy jednostek czy małych grup ustępują dobru ogólnemu. Działalność spółdzielni wiejskich, rozsianych po całym kraju, a także działalność kół młodzieżowych, pracujących na terenie poszczególnych gromad, przyczyniły się w dużym stopniu do pogłębienia tradycyjnej solidarności wsi, otworzyły ujście zapasowi zbiorowej energii, skierowały ją w nowe dziedziny życia.

Gmina — Rejon — Powiat

Bez porównania gorzej przedstawia się zwartość, spoistość, czy solidarność szerszych zbiorowości. Wprawdzie organizujące formy współdziałania chłopów w gminie i powiecie, wykształciły się od dawna i wykazują bogatą nieraz różnorodność — to przecież treść społeczna tych szerszych spólnot jest z reguły bardzo uboga. Istniał od dawna samorząd gmin zbiorowych, ale jego tradycja nie należy do najlepszych i jest raczej tradycją „niewinnych pisarzy gminnych“ i nakazów czy szachrajstw wyborczych, niż tradycją rzeczywistego samorządu chłopskiej zbiorowości. Wydziały powiatowe również nie budziły w masach chłopskich szerszego zainteresowania: były zbyt często tylko szczeblem, po którym działacze ludowi wspinali się na drabinę godności i dostojeństw ogólnopaństwowych. Spółdzielnie powiatowe i rejonowe przy dużym nieraz rozmachu i poważnych osiągnięciach handlowych czy inwestycyjnych biły nader często słabiutkim tylko tętnem życia organizacyjnego. Okres okupacji, w którym nałożono na te właśnie spółdzielnie rejonowe i powiatowe zadanie ściągania kontyngentów dla okupanta — odsunął wielu od tego typu spółdzielni i zdepopularyzował tę formę zrzeszenia w szerokich masach chłopskich. Co najważniejsze, gmina albo powiat nie były nigdy naturalną spólnotą: nie było tutaj tych czynników, które wpłynęły na zżycie się, wrośnięcie psychiką, tradycjami, zwyczajami w grupę społeczną, jaką stanowi gromada. I przeciwnie, wewnętrzne antagonizmy gminy i powiatu były zawsze ostrzejsze, niż wewnątrz gromady: sąsiednie wioski prowadzą niekiedy odwieczne ze sobą spory, odnoszą się do siebie z nieufnością i podejrzliwością. Już przy tworzeniu drobnych spółdzielni wiejskich wyłaniały się niejednokrotnie duże trudności i opory psychicznej natury. Spółdzielni takiej przypadała tutaj bardzo wdzięczna, ale też i bardzo trudna rola łagodzenia i niwelowania w ramach jednej organizacji niezwykle nieraz silnych, tradycyjnych przeciwieństw i sporów między dwiema sąsiednimi gromadami, — przedzielonymi rzeczką czy lasem, współpracującymi w ramach jednej spółdzielni. W większych społecznościach gminnych, rejonowych czy powiatowych, przy sztucznym nieraz powiązaniu szeregu gromad w jedną gminę, nierówności i antagonizmy występować będą przez dłuższy jeszcze czas, utrudniając współdziałanie przy rozwiązywaniu wspólnych zadań.

Nowe zadania i wskazania

A przed wsią w dzisiejszym okresie przebudowy społecznej stoją zadania istotnie wielkie. Nie wykona tych zadań chłop w pojedynkę, nie wykona ich nawet gromada; trzeba będzie łączyć się w większe organizmy dla podjęcia wspólnych wysiłków, w organizmy sięgające poza granice gromady. Nie wystarczy w tej mierze stworzenie formalnych tylko ram samorządu gminnego i powiatowego, spółdzielni gminnych, okręgowych, czy powiatowych powoływanych do życia dla wykonania szczególnych zadań. Nie wystarczy nawet uznanie przez szerokie masy chłopskie potrzeby nowych większych organizacji. Dopiero wypełnienie nowych form nową treścią społeczną otworzy istotnie nowe życie.

Wznieśmy się ponad gromadę. Przeoranie psychiki mas chłopskich, zwłaszcza w ich życiu codziennym, gospodarczym, w ich przyzwyczajeniach i tradycjach, z pewnością nie jest rzeczą łatwą i nie dokona się w ciągu jednego dnia ani też w ciągu jednego roku. Nie będzie to już co prawda orka na ugorze, bo organizacje ludowe, szkolnictwo i spółdzielczość grunt już w pewnej mierze uprawiły. Niemniej jednak w orce tej napotykamy jeszcze na wiele stwardnień gleby, na wiele skorup i kamieni, lemiesze pługa mogą się nieraz jeszcze pogiąć i wyszczerbić.

Reforma agrarna wymaga, by psychiczne i społeczne procesy rozwojowe, jakim od dziesiątków lat podlega wieś, dokonały się szybciej. Czas nagli. Opóźnienie w tej mierze grozi tym, że nowe formy organizacyjne stać się mogą pustym dźwiękiem, pozbawione treści psychicznej i społecznej. Przeciwnie: przyspieszenie tych procesów przez umiejętne i wszechstronne oddziaływanie na masy chłopskie pozwoli na dokonanie pełnej przebudowy życia wiejskiego, zarówno w jego formach strukturalnych i organizacyjnych, jak i w treści psychicznej i społecznej.

Zadania są wielkie, wprost przeogromne. Przeszkody będą trudne do pokonania. Trzeba by masy chłopskie wyszły swymi dążeniami i zainteresowaniami nie tylko ponad ciasno pojęty interes swojej zagrody, a także ponad interesy gromady: by ambicją chłopów było budowanie życia w gminach, rejonach i powiatach. Trzeba wyjść poza granice gromady. Wygląd wsi polskiej i powodzenie wielkiej reformy agrarnej zależy nie tylko od przeprowadzenia sprawiedliwego podziału ziemi, nie tylko od stworzenia nowych organizacji społecznych, gospodarczych, czy zawodowych, ale przede wszystkim od tego, czy chłop w swej masie *potrafi w najbliższych* nadchodzących latach bronić swych zbiorowych interesów i *organizować życie na szczeblu gminy, powiatu i rejonu z takim samym uporem*, z niezmniejszoną konsekwencją i samozaparciem, z tym samym poświęceniem i bohaterstwem, z jakim ongiś trwał mimo nędzy na ojcowiźnie, jak na placówce, z jakim niedawno w czasie okupacji bronił tylokrotnie interesów i honoru gromady.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

JAK TO BYŁO Z GIMNAZJUM W SZCZEKOCINACH

DO REDAKTORA „WSI"...

Pisałem trochę na kolanie. Bo i jak można tu inaczej! Nie przydzieliła nam Samopomoc młyna, co zboże miele. Za to jest dosłownie młyn szeregu drobiazgów i ważkich spraw. Pewno to znasz. Jestem wychowawcą bardzo dużego internatu i mam codziennie do czynienia z rozmaitymi kłopotami.

Do tego nauczanie.

W tych warunkach ciężko czytać i jeszcze trudniej pisać. Aby sprawy szły, trzeba brać w nich udział.

A chłopcom zaglądać trzeba nie tylko do sera, ale także i w bieliznę, czy pościel.

Mam zamiar napisać o tym. Pierwszy (załączony) szkic ma być orientacyjny, później mają być już poszczególne dziedziny.

A więc: psychologia młodzieży wsi, sposób ujmowania zagadnień szerszej natury (społeczne) typy charakterystyczne (właśnie z pod znaku Radka) praca kulturalna, samorządowa, ściśle naukowa, tęsknoty i plany, starsze pokolenie wiejskie a młodzi. Prace chłopców w „Wici". Całe masy problemów, które widzę albo w nich uczestniczę. Nie sądzę, abym co przeoczył.

1.6.45. Szczekociny.

Teraz sytuacja jest zupełnie jasna. Gimnazjum posiada skompletowaną atmosferę. Dniom powszednim i świątecznym nie brakuje tutaj niczego.

Jest więc najpierw pałac i dwa przemiłe dworki, gdzie mieszczą się internaty. O pałacu powiedział kiedyś Stanisław August, że jest za mały dla króla ale stanowczo za duży dla szlachcica. Na gimnazjum, gdzie króluje ludowy entuzjazm, też trochę za mały.

Całość zakrywa starannie wielki bukiet drzew, strzeże rzeka i kompleks stawów.

Tajemnicę odkryło ostatnią jesienią, kiedy drzewa stały bezlistne i kremowe budynki, obsadzone przez Schutzpolizei i ukraińców, widać było wyraźnie.

Zresztą podpowiadała wieś i miasteczko, że właśnie tu powinno powstać gimnazjum. Oczywiście bez przekonania, bo realizacja projektu wydawała się bardzo daleka. Prawie cud.

...Ostatecznie jednak uczniowie kursów dla dorosłych uczą się w sali, z której okna obserwował Tadeusz Kościuszko, organizator powstania chłopskiego, bitwę pod Szczekocinami.

Jest także wspaniały park. Natchnienie i wytchnienie. Tu, w cieniu wiekowych drzew odbywa się fizyczny remont naszej młodzieży, a drużyna „siatkarzy" bije na głowę co niedziela młodzież TURu.

W parku trzeba się mieć na baczności. Oczywiście przed harcerzami, którzy w niedocieczony sposób skradają się i biorą do niewoli dosłownie każdego, nie wyłączając dyrektora zakładu. I delegatów Samopomocy też, jeżeli się będą gapić, a nie uważać co się dzieje. Park odświeża umysły. Można w nim znaleźć samotność, potrzebną czasem do zrozumienia równań algebraicznych i studiować botanikę na żywych przykładach.

Pomaga także pojąć istotę romantycznej poezji. Ale to już ta część w pobliżu młynów, które szemrzą wodą niebieską o zmierzchu, a zieloną za dnia.

Jest także sad i ogród warzywny. W całości z „Pana Tadeusza". Pracuje tam młodzież. Zna tę pracę, od ziemi przecież pochodzi. A wieczorem śpiewają wyciągnięte szeregi wobec w błękit falującej biało-czerwonej flagi:

...nie damy ziemi skąd nasz ród.

Jest także wesoło, choć rok szkolny krótki. Młodzież śpiewa. I to pełną piersią. Może rzeczywiście trochę za głośno. Ale jak tu nie śpiewać, kiedy wreszcie po tylu latach wolno. Niech się niesie szeroko polska pieśń.

I jakże się nie cieszyć, kiedy już wolno w gromadzie żyć? A opiekunowie ze strony władz to pono prawdziwi wójtowie.

I uczy się to największe w województwie, jeżeli nie w całej Polsce skupisko młodzieży ludowej.

Uczyło się tego blisko tysiąc w najtrudniejszych dniach okupacji niemieckiej, cóż więc dziwnego, że są tu teraz wszyscy. Trzeba tu być i widzieć jak słucha z przejęciem uwag i jak się nimi przejmuje.

...Teraz sytuacja jest jasna. Co poniedziałek walą pełną parą setki młodych do gimnazjum, nieraz dobre kilometry. Niebrak i Radków.

Co wieczór gra adapter, co tydzień zbierają się młodzieżowe koła. I co dzień radują się wypłowiałe oczy starego woźnego, chodzącego z niebywałym nabożeństwem do dzwonka.

Ale wtedy? W zimnych marcowych dniach?

Budynki zanieczyszczone przez uciekających niemców. Wszędzie brak szyb, zdewastowane piece, instalacje elektryczne, wodociągowe i ani jednego mebla.

Ręce opadały jak się przyszło brać do tego wszystkiego.

Wypadków lepiej drobiazgowo nie dociekać, boby nikt nie chciał uwierzyć żeby nawet z najtrwardszej stali kuta wola mogła przemienić tak okropną rzeczywistość w dzisiejszą.

Pokrótce było tak:

...kancelaria na oknach, które równocześnie szklono (szkło zdobyte cudem). Dyrektor pertraktuje z władzami i zabiega gdzie się da. Tylko, że wtedy nie wiedziało się jeszcze, gdzie i do kogo. W kilku zdatnych do użytku salach — bez przerwy egzaminy. Pozatym wszyscy się szukają po pustych salach.

A węgiel kombinowało się różnymi metodami w miasteczku no i marzło się porządnie.

W tych dniach siedziało się nie wiele. Nie było kiedy i... na czym. Sprawdzono doświadczalnie, że ciepło pedagogiczne posiada specyficzną własność doskonałego mieszczenia się na całą noc w... fotelu.

Na myśl o ławkach szkolnych, stolikach, tablicach, pomocach naukowych i t. d. kręciło się w głowie.

Atmosferę usiłowała pogorszyć znana wszędzie grupa nieużytków. To niby ci, co się dołączą, jeżeli ich zdaniem bardzo romantyczny i nierealny projekt zrealizuje się.

Ale ktoby się nimi przejmował zwłaszcza kiedy poszczególne gminy wiozą triumfalnie ławki. Jadą więc ławki ze Słupi, Moskorzewa, Rokitna, Irządz, Zelowa i innych.

I oto stało się jasne, że wieś się entuzjazmuje, że się ma doczynienia z najpiękniejszym przejawiem zorganizowanej inicjatywy chłopa.

Jeszcze jeden dzień a olbrzymi dziedziniec przypomina zupełnie przedwojenny jarmark. Aż się roi od furmanek. Młodzież zapełnia internaty i z godnością znosi pierwsze dni chude. Bo niby skąd tak odrazu zmontować olbrzymią kuchnię?

A później ani uchwycić jak się szybko działo.

...15.III.1945 słychać komendę:

Flaga na maszt.

Dyrektor otwiera pierwszy rok szkolny.

W oczach kręcą się łzy. Pierwsze od lat łzy szczęścia.

I oto maszeruje czwórkami młodzież do kościoła. Ze śpiewem. Aż się po miasteczku rozlega. Widok jak ze starych a przecież bliskich i serdecznych dziejów. Jakaś staruszka przeżegnała dumnie maszerującą młodzież. Ksiądz prefekt otwiera główne wejście. Ktoś w czasie mszy gra cudnie śpiew aniołów na skrzypcach.

Bicia serc słychać na odległość.

A później grzmi „Boże coś Polskę".

Zdążyło się na czas. Gimnazjum przestało być efemerydą, choć tu i ówdzie nie dowierzano jeszcze. Nawet wśród władz.

Ale czas przekonał.

Co nowe osiągnięcie to większy entuzjazm. Każdy mebel wnoszono uroczyście, cieszyło byle krzesło. Nawet podstawka do kałamarza.

Dość będzie wspomnieć, że meble są, wszystkie pomoce naukowe, szyby, wodociągi i elektryczność. I duże kotły w kuchni. I dobry kucharz też.

...Dziś dzwonek czyni dzień regularnym i utrzymuje słusznie przekonanie, że nie ma przerw.

Idziemy naprzód.

Czasem tylko wraca się w przeszłość. Do marcowych chłodnych dni Gimnazjum Samopomocy Chłopskiej w Szczekocinach. Poto, żeby już stale wierzyć.

LESŁAW M. BARTELSKI

LEGENDA

Podróżni ze skrzydłami szklącymi jak w srebrze
szli zdala przez pola, od lasu,
gospodyni niosła żarcia pełen cebrzyk,
palił widnokrąg jak stalowy nasyp,
krowom wymiona nabrzmiewały mlekiem,
dziewki dojąc nuciły śpiew ciężki jak opar
południem ciężarne były ich powieki
i na źrenice spadały jak topór,
konie spragnione piły chłód ze studni,
spocone zady świecą jak lustra południem,
gdy na podwórze weszli dwaj mężczyźni
i poprzez ciszę krok ich pluskiem dudnił
dziewce mało wiadra nie wypadły z dłoni,
aż krzyknęła! wyszła gospodyni z chlewa,
jeden z podróżnych nisko się ukłonił,
pytał o gospodarza tak jak gdyby śpiewał,
gospodyni do izby zaraz ich poprosi,
skrzydła w słońcu zabłysły jak miedziane tarcze,
za oknem spory pochrząkiwał prosiak
a pies na nieznajomych nie przestawał warczeć,
wchodzi Piast smukły jak kolumna,
zwykły gospodarz, chłop a nie agronom,
gospodyni prosi aby siadać, stoją dumni
nie pytają, nie proszą, lecz płoną

Z WĘGIERSKIEJ POEZJI SPOŁECZNEJ

Na Węgrzech przeprowadza się obecnie reformę rolną, która kładzie ostateczny kres władzy feudalnego ziemiaństwa w tym kraju, wyzwalając z nieprawdopodobnego ucisku i nędzy rzesze ludu pracującego.

W dniu triumfu sprawiedliwości społecznej na ziemi węgierskiej godzi się złożyć hołd pamięci poety, który o sprawiedliwość tę walczył i twórczością swoją przygotowywał przełom społeczny w świadomości narodu.

Andrzej Ady (1877 — 1919), największy liryk węgierski z przełomu XIX i XX wieku, był bezwzględnym wrogiem ciemiężącego Węgry feudalizmu, bojownikiem demokracji i postępu społecznego. Dopiero jednak w wiele lat po jego śmierci marzenia poety stały się rzeczywistością.

Poniżej zamieszczamy 2 wiersze Ady'ego w przekładzie młodego poety Tadeusza Fangrata, którego klęska 1939 roku rzuciła wraz z resztą uchodźców na ziemię węgierską, gdzie poznał życie i poezję węgierskiego narodu. Biorąc czynny udział w życiu kulturalnym emigracji polskiej na Węgrzech, T. Fangrat wydał w Budapeszcie w 1943 r. 2 tomy przekładów.

ANDRZEJ ADY

WIERSZ SYNA ROBOTNICZEGO

Mój ojciec od rana do nocy
W pocie czoła goni, zabiega.
I nie ma na świecie człowieka
Lepszego od niego.

Mój ojciec ma bluzę przetartą,
Lecz dla mnie o nową się stara,
I mówi o lepszej przyszłości
Z radością i wiarą.

Mój ojciec jest więźniem bogaczy,
Bat poniżeń smaga go często,
I wbrew temu znosi do domu
Nadziei kęsy.

Mój ojciec to szermierz bojowy,
Krzepiący w nas dumę, hart twardy,
On nie zegnie przed nikim głowy
Dla pieniędzy marnych.

Mój ojciec jest biednym człowiekiem,
Lecz gdyby nie patrzył na syna,
Napewno by ziemską komedię
W tej chwili zatrzymał.

Mój ojciec gdy zechce naprawdę,
Wybije godzina dla panów
I będzie mój szkolny towarzysz
Jak ja przyodziany.

Mój ojciec gdy słowo wyrzeknie,
Uciszy się wielu od lęku,
Nie będzie żyć tylu wesoło,
Szczęśliwie i miękko.

Mój ojciec pracuje i walczy,
Nie znajdę od niego silniejszych,
On nawet jest większym nad króle,
On — najpotężniejszy.

PIEŚŃ PRZED ŻNIWEM

Pod popiołem tli gniew rozżarzony,
Dłoń pogróżką zaciśnięta w pięść,
Bezlitośnie brzmi okrzyk szalonych,
Witaj święto, święć nam się — o święć!

Poła płodem dojrzałym się mienią,
W gardłach uwiązł nienawiści głos;
Świąt swobodnych, płomiennych czerwienią
Pragną ostrza prostowanych kos!

Pęka struna napięta i głupia,
Śniedź przeżarła zacofania błyszcz,
Wielkie pychy w bojaźni się skupią,
Wielka prawda wyzwoli się z cisz.

Będą świętem węgierskim te żniwa,
Żęciem pszenic, posoki i głów,
Sekta wściekłych rozrostem olśniewa,
Rzućcie bojaźń, żniwa idą znów!

Tłumaczył
TADEUSZ FANGRAT

KAZIMIERZ STĘPNIAK

NIEMIEC W LITERATURZE POLSKIEJ

1. Ogniem i Mieczem

Życie sąsiedzkie narodów obfituje w różne spory i nieporozumienia, które niejednokrotnie doprowadzają do konfliktów wojennych. Burze te jednak mijają i następuje po nich okres zgodnej współpracy. Tak, było z naszymi wszystkimi sąsiadami prócz Niemców. Długotrwałe wojny, jakie prowadziliśmy np. z Rosją czy Turcją, nie utrwaliły bynajmniej w nas poczucia wrogości i nienawiści w stosunku do Rosjan czy Turków. Inaczej jest z Niemcami. Nawet wtedy, gdy następowały okresy pozornej zgody i współpracy (jak np. w okresie Sejmu Wielkiego czy za czasów sanacyjnych), w masach ludowych trwało stale poczucie nieufności i niechęci wobec naszych zachodnich sąsiadów.

Czemu to przypisać?

Przyjrzyjmy się wizerunkom Niemców, jakie znajdziemy na przestrzeni całej naszej literatury, a może rzuci to światło na zagadnienie naszego stosunku do Niemców.

Od zarania naszych dziejów trwa nieustanny napór niemczyzny na ziemie słowiańskie. Rysem charakterystycznym tych najazdów jest niesłychane okrucieństwo, z którym w parze idą obłuda i fałsz. Przypomnijmy sobie choćby „Starą Baśń" Kraszewskiego lub „Ucztę Gerona" Romanowskiego, poemat opowiadający o wymordowaniu przez niemieckiego margrafa Gerona zaproszonych przezeń na ucztę książąt słowiańskich.

Oręż germański niósł zagładę Słowiańszczyźnie. Wróćmy pamięcią do wspaniałych kart „Wiatru od morza" Żeromskiego, „Krzyżaków" Sienkiewicza, „Konrada Wallenroda" Mickiewicza, przypomnijmy sobie, co mówią ci wielcy pisarze o zmaganiach ludów słowiańskich i bałtyckich z germańskimi najeźdźcami. Przypomnijmy sobie ów fragment, w którym jest mowa o porwaniu Wallenroda jako dziecka przez Krzyżaków:

Niemcy wpadli do domu. Jeden wypuścil się za mną,
Zgonil, porwał mnie na koń. Nie wiem, co się stało dalej
Tylko krzyk mojej matki, długo, długo słyszałem,
Pośród szczęków oręża, domów runących łoskotu.
Krzyk ten ścigał mnie długo, krzyk ten pozostał w mem uchu.
Teraz jeszcze, gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy, jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu.

2. „Honor Narodu i Walka"

Jednak nie w otwartej walce pokonali nas Niemcy, nie ich zwycięstwo na polu bitwy zdecydowało o odepchnięciu nas z ziem nadodrzańskich i Pomorza. Germańskiej przewadze liczebnej i zbrodniczej zaciekłości rabusiów przeciwstawiła Polska nieulęknione męstwo i niezłomną siłę ducha. Doskonale przeciwstawił sobie te dwa światy — polski i niemiecki — te dwa typy myślenia i odczuwania Lenartowicz w wierszu „Habdank":

Pokój z tym, kto trzyma zgodę,
Kto braterskie trzyma ramię,
Z tym nie tylko bój powściągnie,
Lecz się chlebem Lach rozłamie.
A kto nie, kto złości chowa,
Kto się jedna z jego wrogi,
Rękawicę mu łuskową,
Rzuci rycerz Lach pod nogi —
Tak spełniwszy swe poselstwo
Rycerz polski wpośród stanie
I położy dłoń na zbroję,
Wzrok w niemieckim utkwi panie.
Cesarz zasię przewielmożny,
Zakręciwszy w kołtun brodę,
Rzecze dumnie: Nie na pokój,
A na wojnę męże wiodę.
Dziś a jutro lackie łęgi
Ziemię widną szumnych łanów
Po rzemienne w krwi popręgi,
Deptać będzie koń Germanów.
I dorzuci słowo wzgardy,
I na knechty zbrojne skinie:
Oto moje wkrąg namioty,
A to moje złota skrzynie. —
Rzekł i w lot barczyste chłopy
Podnaszają skarbów wieka,
Ale próżno podziwienia
Krzyku z ust wolnego czeka.
Poseł polski nic rzekł słowa,
Jeno gdy mu wróg urąga,
Łuskowaną swą rycerską
Rękawicę szybko ściąga,
Prawiąc: Panie ty niemiecki,
Co wyrzekłeś, dość mi na tym;
Pokąd ziemi, pokąd słońca,
Lach nie będzie Niemcom bratem.
Oto, Niemcy, wam wyzwanie!
Rękawica z brzękiem padła,
Aż połowie onych Germanów
Z trwogi w sercu krew się zsiadła.
Poczym poseł dłoń podniesie
I do skrzyni pierścień miota,
Rzekąc godnie: Niechże złoto
Domieszywa się do złota,
Co zbyteczne Lechii starej,
Chciwość wasza niech zabierze,
Wolnym niech z ojczystych żelaz
Ukowają miecz płatnerze.

Rycerz Habdank udowodnił czynem, że jego słowa i gesty były najzupełniej uzasadnione rzeczywistym stanem rzeczy. Pod murami Głogowa i na Psim Polu pod Wrocławiem otrzymali Niemcy należytą naukę za swą ohydną napaść na spokojny kraj.

Ta wielkoduszność i szlachetność, jakie cechowały rycerstwo polskie w średniowieczu, obce były Niemcom. Przypomnijmy sobie, jak to Krzyżacy w powieści Sienkiewicza zwabiają do swego zamku rycerza polskiego Juranda, by go tam uwięzić i oślepić.

Palacy niezdolni do walki przy pomocy takich samych środków, brali jednak odwet na Niemcach w otwartym boju. Stara pieśń z 1510 r. mówi o naszym zwycięstwie pod Grunwaldem:

Pięćdziesiąt tysiąc na placu
Zostało ich nie bez płaczu,
A czterdzieści poimano,
A tak, jako trzodę, gnano,
Mistrz z kuntory), wszyscy zbici,*
Miecze, co przynieśli — i ci:
Pokora sama wygrała,
Bo u Boga miejsce miała.
Obóz, działa, wszystko wzięto:
Tak Niemcom pychę odjęto!
Łańcuchy, co zgotowali,
Tymi je nasze wiązali.
Tak ci Pan Bóg hardość traci,
A pokorę hojnie płaci...

3. Podstęp — wiarołomstwo

Niemcy zdawali sobie sprawę, że nie pokonają Polski w otwartym boju. Postanowili więc zniszczyć ją podstępem. Osadnicy niemieccy zamieszkujący na naszych ziemiach stawali się pionierami i przednią strażą niemczyzny. O metodach niemieckich z tego czasu mówi stara „Pieśń o Albercie wójcie krakowskim", który wichrzył przeciwko Władysławowi Łokietkowi:

PIEŚŃ O ALBERCIE WÓJCIE KRAKOWSKIM

Gdybym wiedział co się stanie,
Byłbym wierny niezachwianie
Polskiemu monarsze.
Na cóż wyszła wierność słaba,
Że pragnąłem mieć od szwaba
Urzędy najstarsze?
W las mię wiodły wilcze chęci!
Niemiec zawżdy gdzie się wnęci,
Droga mu otwarta;
Chciałby pierwszym zostać zgoła,
A nie dając innym czoła,
K'sobie wszystko zgarta.
Ten obyczaj wszyscy biorą,
Najprzód kłania się z pokorą
I do łask się wkrada,
I wnet siebie, córki, braci
Z możnem gniazdem koligaci,
Tu już pewna zdrada.
Bo gdy wzrośnie mu potęga,
Dalej patrzy, dalej sięga,
Bierze inną postać;
Idzie z panem w targ zwodniczy,
Tysiąc groszy mu doliczy,
Aby sędzią zostać.

Wiarołomstwo niemieckie jest przysłowiowe. Pamiętamy, że najbardziej nam wroga była pruska dynastia Hahenzollerów, wywodząca się od ostatniego mistrza zakonu krzyżackiego Albrechta Hohenzollerna, który w 1925 r. ślubował jako lennik królowi polskiemu wierność i posłuszeństwo. Oto fragment z utworu Lenartowicza „Opis hołdu pruskiego":

A gdy się książę z swymi do tronu przybliżył,
Z konia zsiadł i przed królem pięknie czoła zniżył.
Z kolei się zwróciwszy przed senat duchowny,
Co w srebrnych szatach zasiadł, pokłon złożył równy.
Przed świeckie pany wreszcie...
I znów o kroków parę pójdzie zastęp owy,
Przed miłościwym panem lenne chylą głowy
Raz jeszcze, i upadli jak mierz na kolana,
A król im przez Gdańskiego rządził kasztelana.
...Pokornym głosem błagało to książę
O opiekę, i jako przysięgą się wiąże,
Iż wierności dochowa panu swemu wcale,
Proporzec pruski wiatru rozwiały fale,
Kiedy się pruski podwlókł do stóp swego pana,
A księga mu oprawna w złoto była dana,
Lennikiem się ogłosił i uderzył czołem
Rzekąc: wierność dochowam tym od których wziąłem
Ten proporzec —

Wiemy dobrze, jak potomkowie Albrechta Hohenzollerna dotrzymali tej, obowiązującej przecież i ich także, przysięgi.

4. Chłopie Polski, Narodzie Polski — Precz!

Gdy zaś po rozbiorach rozpanoszył się najeźdźca na naszych ziemiach, zaczęła się walka o zupełne zniszczenie polskości. Chodziło Niemcom przede wszystkim o to, by usunąć chłopa polskiego z ziemi. W noweli „Za chlebem" mówi Sinkiewicz o niemieckim agencie emigracyjnym, łowiącym w swoje sieci polskiego chłopa.

Bohater noweli... „w karczmie...

„poznał się z Niemcem, co się po wsiach niby o łyn zmawiał, a w rzeczy samej ludzi za morze wywoził. Niemiec powiadał mu cuda i dziwy o Ameryce. Ziemi obiecywał tyle, ile w całych Lipińcach nie było — i z borem, i z łąkami, chłopu aż się oczy śmiały... Mali wziąć kij w rękę i śpiewać pod kościołem „Święta Niebieska, Panno Anielska" — Nic z tego, nie będzie, pomyślał, Niemca w dłoń uderzył, do Świętego Michała się wyprzedał, córkę wziął i oto płynął teraz do Ameryki".

od innych próbowane ziemie wykupić. Pamiętamy wszyscy ten wiersz z Konopnickiej zaczynający się od słów:

„Chodziły tu Niemce, chodziły odmieńce:
Sprzedaj, chłopie rolę — będziesz miał czerwieńce.
Sprzedaj chłopie rolę, sprzedaj, chłopie, pole,
Bedziesz miał talarów na całuśkim stole".

Szeroko opowiada o tych niemieckich zakusach na polską ziemię „Pracówka" Prusa.

Chłop polski nie opuszczał ziemi. Drzymała mieszkający w cygańskim wozie, gdy nie zezwolono mu na zbudowanie domu na własnej ziemi, jest symbolem uporu i wytrzymałości polskiego chłopa broniącego swej ojcowizny przed wrogiem.

To też Niemcy starali się niszczyć polskość wszelkimi środkami. Reymont w „Ziemi obiecanej" opisuje ich brudne machinacje na terenie Łodzi, ich zabiegi o opanowanie polskiego życia gospodarczego.

Równocześnie zaś starali się wyzyskać polskie ręce w walce o niemieckie interesy. („Bartek Zwycięzca" Sienkiewicza, „Stłumione iskry" Jeske - Choińskiego). Dopomagała im w likwidowaniu polskości w Poznańskim wynarodowiona magnateria („Ave" Kazimierza Glińskiego).

Prześladowania niemieckie spadały nawet na dzieci, które nie chciały mówić pacierza w obcym języku, jak to miało miejsce we Wrześni. Bohaterstwu tych dzieci poświęcił Kasprowicz swój piękny wiersz o krucjatach dziecięcych.

Pod uciskiem niemieckim zamierało, jałowiało życie.

„Warszawę za panowania pruskiego przyrównać można było do owego opustoszonego zamku, w którym niegdyś bogata rodzina przemieszkiwała, a co teraz opuszczony stoi" — pisze literat i ekonomista, członek Tow. Przyjaciół Nauk, Fryderyk Skabek, odtwarzając nam „pruskie czasy Warszawy" po trzecim rozbiorze Polski — *„Nie byłem w podziemnym Herculanum i Pompei, lecz wyobraziłem sobie czem to być mogą te podziemne miasta, gdym zwiedzał pruską Warszawę i gdym się przypatrywał tym jej gmachom, w których niegdyś koncentrowało się całe życie narodu... Najgłówniejszy, a zarazem najsmutniejszy, pod wszelkim względem ze wszystkich gmachów Warszawy, jest Zamek, siedlisko dawnych królów i sejmów polskich, w którym każde wejrzenie na posępne mury i na pomniki historyczne natrafia".*

Dziś — po zburzeniu Warszawy — te słowa Skarbka brzmią jak ponure proroctwo.

Nie przyniosły zmiany i czasy najnowsze. Wystarczy przypomnieć osnute na tle walk o wyzwolenie naszych kresów zachodnich powieści Gustawa Morcinka „Wyrąbany chodnik" (o Śląsku) i Macieja Wierzbińskiego „Wolność" (o Wielkopolsce) lub z czasów już powojennych jak np. antyniemieckie satyry Tuwima w „Jarmarku rymów", „Ziemię Elżbiety" i „Dzień powszedni" Poli Gojawiczyńskiej lub „Deutsches Hein" Buguszewskiej i Kornackiego. Niemcy nie zmienili się i nie zmienił się nasz stosunek do nich. Proniemiecka polityka Becka nigdy nie zyskała uznania społeczeństwa, które zbyt dobrze zdawało sobie sprawę z właściwych zamiarów Niemców wobec nas. Praktyka lat wojennych potwierdziła te obawy w zupełności.

Osąd naszej literatury o Niemczech najlapidarniej streszczają słowa wielkiego poety Norwida:

„Na Zachód — kłamstwa — wiedzy błyskotność,
Formalizm prawdy, wnętrzna bezistotność,
A pycha pych".

NA SZEROKIM ŚWIECIE

Wojna została zakończona. Mamy pokój. Ale urządzenie nowego świata uzależnione jest od rozwiązania całego szeregu problemów, o różnej wadze gatunkowej, o różnym charakterze. Nie została jeszcze uzgodniona polityka sojuszników w stosunku do Austrii, Bułgarii, Rumunii, nie został rozwiązany problem polskiego „rządu” londyńskiego, a już narastają nowe zagadnienia, od rozwiązania których uzależniony jest nie tyle pokój, ile spokój międzynarodowy. Jednym z takich właśnie zagadnień jest sprawa Triestu i Istrii, które to terytorium zostało zajęte przez wojska jugosłowiańskie w toku walk z Niemcami. Jugosławia posiada słuszne — historycznie i gospodarczo — prawa do tych ziem. Fakt aneksji tego terytorium przez Włochy, po pierwszej wojnie światowej, nie może być dziś brany za podstawę rozumowania. Mimo, iż włączenie Triestu i Istrii w granice suwerennego terytorium Jugosławii podyktowane jest koniecznością gospodarczą odradzającego się państwa, rząd marszałka Tito zgodził się na włączenie tego terytorium (Venezia Giulia) do strefy okupacyjnej aliantów z pozostawieniem sprawy uregulowania tego zagadnienia przyszłej konferencji pokojowej.

STOSUNKI ANGIELSKO-RADZIECKIE

Umowa jugosłowiańsko-aliancka jest tym bardziej charakterystyczna, iż równocześnie narasta cały szereg problemów nowych, gdzie stanowisko oficjalnej polityki angielskiej, reprezentowanej w tej chwili przez partię konserwatywną wywołuje w państwach demokratycznych duże niezadowolenie co było ostatnio wielokrotnie podkreślane przez przywódców brytyjskiej Partii Pracy.

Churchill — jak stwierdza de Gaulle — właściwy sprawca konfliktu francusko-syryjskiego, pragnie wyraźnie i zdecydowanie umocnić stanowisko kapitału angielskiego tak na Bliskim Wschodzie, jak i w Europie. Wypadki w Syrii dały mu możność jednostronnego — narazie — rozstrzygnięcia sytuacji przez obsadzenie oddziałami brytyjskimi baz wojskowych w Syrii i Libanie. Sztuczne podsycanie nienawiści do Francji, niszczenie francuskch ośrodków gospodarczych ma być pierwszym etapem do przejęcia pod kontrolę angielskiego kapitału naftowego całego systemu Persian Oil Co., systemu, którego punkty wylotowe znajdowały się dotychczas w zasięgu wpływów francuskich.

Ani Zw. Radziecki, ani Stany Zjednoczone — dążące do utrzymania pokoju i równowagi międzynarodowej nie mogą się na to zgodzić. Toteż oba te państwa dążą do jaknajszybszego zlikwidowania konfliktu i to nie w myśl założeń angielskiego kapitału.

Chęć wywarcia presji na Związku Radzieckim daje się zaobserwować w angielskim planie wykorzystania produkcji rolnej wschodnich Niemiec dla potrzeb Niemiec zachodnich. Fakt, iż Churchill zwleka z wycofaniem wojsk z tych terytoriów niemieckich, które zgodnie z uchwałą Komisji porozumiewawczej przypadły Związkowi Radzieckiemu nie można wytłumaczyć nieuregulowaniem problemu rozgraniczenia angielskiej, amerykańskiej i francuskiej strefy okupacyjnej.

Stany Zjednoczone nie idą — jak to stwierdził ostatnio amerykański podsekretarz stanu Grew — w ślad polityki angielskiej. „Rola Stanów Zjednoczonych polega na spełnianiu funkcji „sędziego polubownego”, ponieważ Stany Zjednoczone nie mają żadnych rozbieżności z innymi mocarstwami. Grew stwierdza równocześnie, iż „rozumie całkowicie przyczyny podejrzliwości Związku Radzieckiego”.

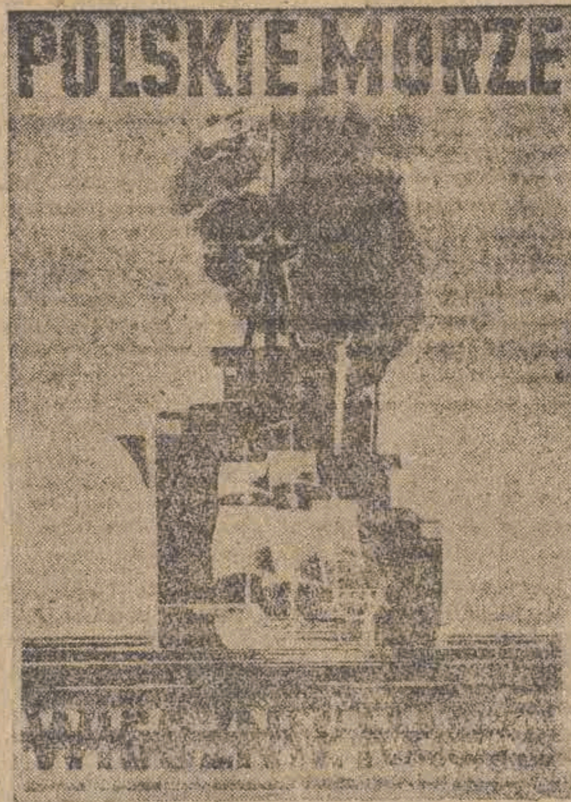
Na fałszywą politykę konserwatystów w stosunku do Rosji zwraca również uwagę przywódca opozycji Jego Królewskiej Mości — Clement Attlee mówiąc: „Przyjaźń angielsko-radziecka musi być podstawą naszej polityki zagranicznej”. Chęć niektórych grup kapitalistów angielskich rozbicia sojuszu wyrosłego w czasie wspólnej walki przyczyni się tylko do szybkiego upadku tych grup. Wielki przemysł i wielki kapitał nie mogą więcej narzucać polityce angielskiej swojego punktu widzenia, punktu widzenia obrony swoich interesów.

Interes najszerszych mas narodu angielskiego wymaga upaństwowienia ciężkiego przemysłu tak, jak wymaga przyjaznej współpracy z innymi narodami koalicji.

FRANCJA POD ZNAKIEM DEMOKRACJI

Ostatnio przeprowadzone wybory komunalne we Francji stanowiły bardzo znamienną próbę sił przed zbliżającymi się tam wyborami do Ustawodawczego Zgromadzenia Narodowego.

Zdecydowana porażka ugrupowań reakcyjnych dowiodła, że okres okupacji niemieckiej i związana z nim walka o wolność spowodowały we Francji zasadniczą zmianę systemu myślenia. Naród francuski, zjednoczony wokół Rady Oporu, w której skupiły się już na długo przed wyzwoleniem kraju, najsilniejsze partie i organizacje społeczne — wysunął program szerokich reform politycznych, ekonomicznych i społecznych.



W imię politycznego odrodzenia Kraju przeprowadzone być mają jeszcze w roku bieżącym wybory do suwerennego zgromadzenia narodowego, z tym, iż nowy parlament wyłoni ze swego grona rząd oparty na realnym układzie sił działających we Francji, który będzie równocześnie — w myśl starych zasad parlamentaryzmu francuskiego — odpowiedzialny przed przedstawicielami narodu. Od zgromadzenia narodowego oczekuje się we Francji zabezpieczenia swobody myśli i słowa, wolności prasy, tajemnicy korespondencji, nietykalności mieszkania, a co najważniejsze — opracowania nowej konstytucji.

Przebudowa gospodarcza ma iść po linii upaństwowienia wielkich banków, przemysłu zbrojeniowego i ciężkiego, kopalni, dużych elektrowni i kolei. Równocześnie opracowywane są projekty ustaw o ochronie małego i średniego przemysłu, handlu i rzemiosła, które były dotąd eksploatowane przez monopolistyczne kartele. Niski stan rolnictwa, w kórego produkcji — mimo silnego uprzemysłowienia Francji — inwestycje maszynowe bardzo znikomą odgrywają rolę spowodował wzrost istniejących już przed wojną trudności aprowizacyjnych. Modernizacja gospodarstw wiejskich stanowi jedno z naczelnych haseł Francji dzisiejszej. Wprowadzenie nowego systemu podatkowego, ze szczególnym obciążeniem wielkich posiadaczy — oraz szeroko dyskutowanym we Francji podatkiem od wzbogacenia wojennego — pozwoli unormować zagadnienie sprawiedliwego udziału obywateli w rozchodach państwa.

Obok przebudowy politycznej i gospodarczej — Rada Oporu pragnie zreformować również życie społeczne we Francji przez udzielenie kobietom prawa głosów nie tylko do władz samorządowych, ale i państwowych.

Charakterystycznym jest hasło włączenia do ogólnego systemu przebudowy — francuskich kolonii i państw mandatowych.

Strzały, które rozległy się na ulicach Damaszku, Bejrutu, Homs czy Hama — nie były wywołane przez żołnierzy francuskich; rozkaz zaprzestania ognia wydany przez de Gaule'a, oraz wielokrotnie podkreślana chęć pokojowego i szybkiego załatwienia konfliktu — jest najlepszym argumentem przemawiającym za słusznością polityki francuskiej, polityki, która konsekwentnie dąży do zabezpieczenia pokoju światowego i utrwalenia zdobyczy demokracji.

J. S.

O WOLNOŚĆ ŁUŻYC

Dobrze stało się, że wielkopolski organ Stronnictwa Ludowego „Polska Ludowa” w Nr 4 w artykule „Pamiętamy o nich” poruszyła sprawę Łużyczan. W artykule tym czytamy:

Wyjedziesz zaledwie 40 km na południe od Berlina, do t. zw. Spreewaldu (t. j. Las nad Szprewą), a ogarnie Cię zdumienie. Usłyszysz starą mowę słowiańską — zresztą bardzo zbliżoną do naszego języka — znajdziesz słowiańskie osiedla, wsie, ba całe miasteczka, gdzie jeszcze rozbrzmiewają słowiańskie pieśni, zobaczysz stare słowiańskie obyczaje i zwyczaje, zwłaszcza weselne, a także malowniczy strój narodowy (kobiecy).

To Serbowie, zwani też Łużyczanami — szczep czysto słowiański, jeszcze dzisiaj żywy.

Wyspa w morzu germańskim — ale wyspa twarda, granitowa. Tysiąc lat walki z polipem germańskim tysiąc lat niewoli germańskiej — sami wiemy jak to smakuje — a jednak: szczep przetrwał i żyje.

„Odra i rzssa naszą granicą zachodnią”. Ale granica ta nie obejmuje całego obszaru, zajmowanego przez Łużyczan.

Czyż chcemy zostawić ich w paszczy niemieckiej? Czyż nie chcemy ratować 62.000 braci naszych, w których jeszcze dzisiaj płonie żywa dusza słowiańska?

Dla tych 62.000 Łużyczan musi nareszcie zabłysnąć jutrzenka wolności! Muszą oni być wolni — i będą wolni.

Po poprzedniej wojnie, wojnie światowej konferencja pokojowa nie zatroszczyła się o ten bohaterski szczep słowiański, Traktat Wersalski również. Ale dzisiaj jego sprawę weźmie w swe ręce żołnierz polski wespół z potężną armią radziecką.

„Polska Ludowa” zajęła się wyłącznie sprawą wolnych Łużyc, ale trzeba przypomnieć, że w okolicach Budziszyna w górnych Łużycach żyło przed wojną również około 100 tys. naszych pobratymców. W chwili gdy nadszedł dzień kary dla germańskich niszczycieli narodów słowiańskich, nadszedł również dzień sprawiedliwości dla ciemiężonych Słowian. I dlatego stanowczo i głośno upominać się musimy o wolność dla Łużyc.

„Chłopska Reforma Rolna”

Ukazała się opracowana przez red. tyg. „Wieś”, broszura p. t. „Chłopska Reforma Rolna” (wyd. Spółdzielni „Czytelnik”). Jest to pierwsza większa publikacja, mająca na celu wszechstronne oświetlenie reformy, poczynając od jej znaczenia politycznego, poprzez sens gospodarczy, społeczny i kulturalny, a kończąc na określeniu skutków reformy, wyrażonych przez powstanie naczelnej organizacji chłopskiej: Związku Samopomocy.

Broszura jest cennym dokumentem chwili i najbardziej wyczerpującą z dotychczasowych publikacji o Ref. rolnej. Dostarcza ona tak potrzebnego, tak brakującego materiału objaśniającego dla szkół, świetlic, działaczy ludowych, ułożonego w specjalnie wyczerpującej formie.

Broszurę powinna nabyć każda szkoła, każda nowopowstała uczelnia chłopska, „Chłopska reforma rolna”, winna się znaleźć w każdym chłopskim domu.

Zarządy wojewódzkie S. Chł. i Stronnictwa Ludowego, winny bezzwłocznie przysłać zamówienia na broszurę do redakcji „Wsi” (Łódź, Piotrkowska 96) lub do Zarządu „Czytelnika” (Łódź, Piotrkowska 62). Zarządy woj. S. Chł. są jednocześnie zobowiązane do wpłaty w miejscowym oddziale „Czytelnika” — lub pocztą należnej sumy (cena egz. 12 zł.) za broszury i dowody wpłaty przesłać razem z zamówieniem. Tylko te zamówienia będą uwzględnione, przy których będą załączone dowody wpłaty.

Przy zamówieniach od 20 do 200 egzemplarzy 15 proc. zniżki. Powyżej 200 egzemplarzy — 20 proc. zniżki.

Redaktor: Jan Aleksander Król.
Administracja: Łódź, Piotrkowska 62.
Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96
D-04201
Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.
Wydawca: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik”